





Maria Kizrak.


Juliusz Bois.


Czytelnia Polska

Wilno, ul. Piłsudskiego № 20.

Wrażenia 
 z Indyj.


CZĘŚĆ I.


WARSZAWA.

NAKŁADEM „ZIARNA.”

—
1905.



77147

Дозволено цензурою
Варшава 5 Апрелья 1905.

Druk A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat Nr 47.

K-117/77/83498

Gród strasznych nocy.

Miasto pałaców.—Świątynia Kali-morderczyni. — Sziva Lingham. — Łoże boleści i rozkoszy.—Adoracya małżonki.—W „pancy.“—Humtollah burning Ghât.—Ekstaza (uniesienie).—W teatrze hindusów.—„Wygnanie Sity.“ — Asceta odkupiciel.

I.

Miasto pałaców.

„Gród strasznych nocy“, tak Kalkutę nazwał Rudyard Kipling, genialny anglo-saksończyk, opiewający z szorstkością barbarzyńcy swą drugą ojczyznę — Indye. Tak, miasto strasznych nocy, gdzie włóczy się najstraszniejsze zepsucie, gdzie odbywają się krwawe obrządki religijne, gdzie w pogo-

ni za rupią, kupcy do świtu oczu nie zamykają, gdzie dżuma, cholera, febra, zabiera tygodniowo ośmset ofiar, z siedmiuset tysięcy ludności. W pierwszej chwili wyładowania poczułem, że jestem w mieście jedynem na świecie.

Mam za towarzysza francuza, o zakręconych wąsikach, twarzy rumianej i oczach zdobywcy; ma on w swych żyłach krew żołnierza. On doda mi odwagi i pobudzi mą ospałą naturę. Już zwyciężył tę chmarę „coolies“ nagich i ruchliwych, tych tragarzy o drżących nogach i wątłych ramionach, nie mogących w dziesięciu podnieść jednego z naszych kufrow. A gdy okradłszy nas, nie dają nam jeszcze spokoju, — podniósł swą laskę. Natychmiast kłaniają się nam i uciekają. Mój przyjaciel zna drogę do serca tej kasty—spodłonej, tchórzliwej i przedajnej... Wózek unosi nas z tych gwarnych wybrzeży Hongli, olbrzymiego ramienia Gangesu i oczom naszym ukazuje się Kalkuta, podnosząca jak ladacznica zastłonę z twarzy o barwach rozmaitych. Widzimy olbrzymie ogrody, posągi wice-króla, rozmaite gry sportowe na gazonach; to znów budy jarmarczne tuziemców, wspania-

łe aleje, po których toczą się powozy pogardliwych i ponurych anglików, błyszczących radzów z brylantowymi kitami u czoła, a z mgły, jakby londyńskiej, wyrastają z ziemi to tu, to tam, wspaniałe pomniki, partenony—ambicyą brytańską rozwinięte, opactwa Westminsterskie, natchnione liryzmem indusów, fortece potężne, zbudowane jakby czarodziejską różdżką. Teraz zrozumieć można, dlaczego dumna Kalkuta oficjalnie nazywa się: „Miastem pałaców.“

Nie pojedziemy do „Great Eastern“ ani do „Grand Hotel“ — odzywa się mój przyjaciel, głosem człowieka przyzwyczajonego do czynu; należy uciekać od Europy, którąbyśmy tam znaleźli. Konsul wskazał nam dom zajezdny przy ludnej, środkowej ulicy w Durhumtollah. Czy chcesz tam się udać?

Chcę to, czego on chce.

W Durhumtollah sztuczny Londyn znika, zaczynają się Indye. Przebiegłem wszystkie bazyry Levantu, Kairu, Konstantynopola, Damaszku. Nie spodzianki czekają mnie tu jeszcze. Najprzód ten specjalny odór Indyj, nie ten korzenny, podniecający zapach

sklepów Azji Mniejszej lub Afryki, lecz uparty, subtelny, przenikliwy, płynący z kokosowych fajek, które ten lud zewierzęcony i zniechęcony pali zapamiętałe. Przy cuchnących lampkach olejnych, o knotach chwiejących się, nie dających światła, krawcy, wymiennicze, przekupnie jarzyn i słodczy, kucharze na wolnem powietrzu, siedzą w kuckach, prawie nadzy, z oczami błyszczącymi tem światłem bez promieni, właściwem źrenicom węzów. Głowy ich inteligentne, wątle kończyny, ciało żółto brunatne. Nie przestają cmokać te ciemne fajki, w których tytoń indyjski, przesiąknięty roztopionym cukrem i wodą różaną, rozlewa tę nieokreśloną woń, co zamiast podniecać, jak zapach bazarów arabskich, usypia i upaja, i daje złudzenie, że się śpi wiecznie... Persy o czapkach błyszczących, chodzą w kostyumach niby europejskich, delikatni bramini otwierają ponad głowami białe parasolki. „Babusi,“ mieszczenie brzuchacj, z muślinowemi szarfami przez ramie przewiazanemi, zajmują prawie tyle miejsca, co wózki, a te wózki są wązkie, delikatne, wysmukłe, jak wysoko skaczące owady.

Nad płaszczyzną drewnianą, podtrzymywaną przez dwa wysokie koła, rozciągnięta jest tkanina; tam, gdzie z trudnością pomieściłby się jeden europejezyk, cisną się całe rodziny, nie licząc woźnicy; ten siedzi prawie na ogonie konia, klienci pakują się, jedni chwytają się kijów, podtrzymujących namiot, drudzy siadają prawie na kołach. Cudem utrzymują równowagę.

Nasz dom zajezdny zapełniony jest angielskimi dziewczycami, samotnie podróżującymi, i kupcami amerykańskimi. Ani drzwi, ani firanek, ani łózek że tak powiem. Na matach leżą materace grubości placuszków. Gospodyni dodała przesćieradło, jedno, przez szacunek dla nas cudzoziemców.

Ubieralnia, prawie jednakowa w całych Indyach, zasługuje na wzmiankę: jest tam basen suchy, z glinianemi naczyniami, w których woda świeżość swą zachowuje. Miarka, podobna do używanych u nas przez mleczarki do mierzenia mleka, wisi obok. Wykopany rowek przeprowadzi zużyta wodę gdzieś na oddalone podwórze. Rozbieramy się i nadzy zlewamy się wodą obficie, bo chociaż mamy już zimę, upał jest przygnębiający. Trzeba trzy

czy cztery razy dziennie wykąpać się starannie, aby zmyć ze spotniałej skóry ten pył pełen zarazków, podnoszący się z ulic.

Natychmiast każdy z nas przyjmuje na służbę „boya“, to więcej niż zwyczaj—to konieczność. Mój jest szczupły, zręczny, ładny, jak małpka, któraby stała się człowiekiem, dzięki fantazji zręcznego rzeźbiarza. Młodziutki, w zgrabnym turbanie, przypominającym strój głowy kobiecej, z tuniką powiewającą na wysmukłych wątych członkach—pochodzi z Bengalu. Nazywa się Rozian, jest muzułmaninem i wstrzeźliwym jak syn pustyni, ale w tajemnicy upaja się opium.

„Boy“ mego towarzysza jest indusem, pochodzącym z Bombaju, starszy, pełniejszy, z oczami oszusta, z długimi obręczami w uszach, malowanymi paznogciami i czołem utatuowanym w długie prostopadłe linie, które dziś, chcąc nam się podobać, wydrapywał napróżno.

Powiedział nam, że dziś po południu jest wielka uroczystość w świątyni Kali i on należy do jej wyznawców. To bardzo daleko—w Kali-Gáth. Z Kali-Gáth, pierwszego przedmieścia

tego miasta kosmopolitycznego, chaotycznego, olbrzymiego, gdzie się obecnie znajdujemy—anglicy zrobili „Kalkutę.“ Tak, idźmy zaraz oddać cześć geniuszowi tego miasta, małżonce-wojownicze Szivy, który jest bez zapreczenia pierwszym bogiem Indyi, więcej czczonym niż Wisznu (Vishnou), bóstwo mieszczańskie, lub Terahma—bożyszcze klerykalne. Sziva to dusza starej i średniowiecznej Indyi, to asceta, samotnik, zabójca, patron szaleństwa, mordu i samobójstwa. Zony jego: Kali i Durga przedstawiają pijaństwo i śmierć..

II.

Świątynia Kali-Morderczyni.

Zatelegrafowaliśmy do konsulów francuskiego i belgijskiego, aby się z nami połączyli, i wsiedliśmy do wielkiej drewnianej dorożki (first class); indus wdrapał się na kozioł, gdzie już siedział strasznie brudny woźnica, z twarzą czarną jak heban i nogami nagiemi, chudemi jak patyki. Rozian,

mój „boy“, nie towarzyszył nam; jako muzułmanin, nienawidzi bożków i ich kultu. Przejeżdżamy przez bogate dzielnice Kalkuty, Moidam, Chowringhi, gdzie wznoszą się kluby o białych kolumnadach, gdzie prywatne wille otoczone są drzewami nieznanego gatunku i ogrodami, w których pełno czyhających na ofiary kobra (rodzaj węzów). Wjeżdżamy nareszcie w ludne ulice, gdzie tuziemcy roją się pod swemi kolorowemi płaszczami, jak robactwo ludzkie. Atmosfera tu prześląknięta jest mikrobami cholery i febry, jakaś niemoc chorobliwa zieje z tych sklepów, zapelnionych gałganami brudnymi. Hordy całe rzuciły się na tramwaje elektryczne i dlatego żaden biały tam się nie zechce. Udają się one, tak jak my, do Kali-Ghât, pchane odwiecznymi przesadami, zamiłowane w bożyszczach i ich kulcie, na który się składają śpiewy, kwiaty, krew z ofiar płynąca, obmywania i rozmaite okropności... Czujemy już, że się zbliżamy do dzielnicy „świętej.“ Ciemne chałupki, w których stada ludzkie drżą od malaryi, ozdobione są śmiesznymi posążkami z drzewa, kamienia lub gliny, szczególnie

z biednej kruchej gliny Bengalu. Afisze ogromne, malowane z wielkim bezwstydem, przedstawiają boginię trzymającą jedną nogę na częściach, wstydlivych, drugą—na sercu swego małżonka i potrząsającą swemi niezliczonymi ramionami.

Jak pięknymi wydawały się jednak w tem słońcu Azyi i na tle jaskrawem wizerunków Kali, te nędzne słomiane chatki, wsparte na kijach bambusowych i te zwisające czerwone łachmany!

Wysiadamy; mała dróżka ma nas doprowadzić do świątyni bogini. Czy to popołudnie, pora, o której zawsze następuje mnie febra—nie wiem, ale czuję się wstrząśniętym tem, co widzę. Właśnie przybyli konsulowie z żonami i uroczymi pannami, żądnymi wrażeń. Będą miały tego do syta. Otoczyli ich kapłani, narzucając swe usługi w charakterze przewodników. Ale nasz „boy“ odepchnął wszystkich bliżej stojących, pragnąc widocznie lwią część bączyszu (napiwku) dla siebie zagarnąć. Kobiety podnoszą suknie i z ostrożnością stąpają po lepkiem błocie. Pozostał przy nas jeden kapłan. Kilka słów sanskryckich, które

wypowiedziałem, podziałaly na niego, jak urok, rzucony na węża przez fachowego pogromcę węzów. Należy już on do nas. Ja i moje towarzystwo zobaczymy wszystko. Przypatruję mu się badawczo. Pięknym jest z temi gęstemi brwiami i szlachetnym zarysem ust, z których płynie wstrętny oddech. Głowa ogolona, z bardzo długim kosmykiem, zwisającym z czubka głowy. Trzęsie go febra, gdy mi odpowiada swoją angielszczyzną najczęściej nie to, o co pytam. Podziwia moją znajomość jego bogów i z właściwą tu wszystkim monomanią, powtarza tę samą zwrotkę: „Nigdy nie widziałem takiego jak pan podróżnika.“

Otacza nas chmara przekupni, wiecznie otaczających świątynię! Obwijają nas girlandami z kwiatów żółtych, czerwoną farbą plamią nam czoła. Aby się dostać do wstrętnego przybytku, my chrześcijanie, musimy udawać pielgrzymów Kali. Trudno opisać gwar panujący w tych ohydnych uliczkach, gdzie leżą relikwie, jadalno i rośliny odurzające. Błagania o jedno anna, to niby cztery grosze, zlewają się z pieniami pobożnemi. Mój

kapłan towarzyszy mi nieustannie. Oddech jego tworzy pustkę koło nas. Pobożnego tego szaleńca otacza atmosfera niepokojąca i pociągająca, jaką wydzielają waryaci, zbrodniarze i te medya, które tak często odwiedzałem w Europie. Można to porównać z owem tchnieniem niewidzialnem, promieniującym z maszyn elektrycznych. Ale to denerwuje i drażni; z łatwością wpadłbym w gniew, czując obrzydzenie; gorączka tego nieszczęśliwego, szczękającego zębami—udziela mi się. Oglądamy ołtarze mniejszych bogów, nim wstąpimy do przybytku „świętego świętych.“ Najprzód widzimy bożka-słonia w głębi ciemnego zakątka. On sam jest czarny, ohydną nad nim aurołę tworzą wiążące się z sobą sprośności. Szczęściem, trzeba znać symbole hindusów, by to zrozumieć. A jednak mamy tu do czynienia z bogiem rozsądku, z dobrym Ganesz! Europejki, towarzyszące nam—dziwią się, starannie podnosząc suknie, by uniknąć brudów. Widzą tylko jakieś skrzęty w tem niepewnem świetle. Inne ołtarze, oddalone jedne od drugich, zagłębione są w sanktuaryach, które

noga europejczyka skalałaby raz na zawsze.

Ja domyślam się, że tam Chrisna i Radse, toną w uściskach w tych cieniach obrzydłych...

Ale trzeba oderwać się od tych drobiazgów. Oto jesteśmy na wielkim dziedzińcu świątyni, a raczej świątyni. Zbliża się wieczór. Wrażenie potworności, szału i zbrodni wzrasta. Młode panny krzyczęc zaczynają. Oburzają się nasze panie francuskie. Idziemy literalnie przez potok krwi. Niegdyś odbywały się tu ofiary z ludzi; dziś zarzynają tu tylko psy, koźleta i bawoliki. Nigdy nie wyjdzie mi z pamięci to miejsce krwawe, jego charakter wstrętny, a jednak święty, objawienie duszy miejscowej, tak różnej od naszej. Kapłan z uśmiechem zbója daje znak, że ceremonia zaraz się rozpocznie: „macie szczęście“ dodaje.

Tak, mamy szczęście. Ofiarnik z głową odkrytą, kładzie na kłocu wygłębionym głowę zebu, otoczoną girlandą kwiatów. Drugi zlewa pysk ofiary święconą wodą z Gangesu. W zgromadzeniu nastaje cisza oczekiwania, skupienie przed egzekucją.

Nóż spada z głuchym stukiem. Z przeciętych arteryj bucha czarna fontanna. Głowa stacza się.

Uniesienie nie zna już granic. Nie możemy się obronić wobec tych fanatyków. Popychane europejki chwytają się nas i tylko przy pomocy naszych łokci możemy naprzód się posuwać. Suknie obryzane krwią, z mojego trzewika ścieka krew. Kapłan, nasz przewodnik, mamrocze jakieś słowa bez znaczenia. Upojony jest dokonaną ofiarą i widokiem bogini, która nareszcie objawia się nam. Pchają się ku niej fanatycy. Ale na wezwanie kapłana rozsuwa się ten rój różnoplciowy i kapłan wyciąga rękę, by zebrać żniwo naszych rupii. Tworzy się podwójny szereg czcicieli i widzimy miejsce czarne, wilgotne, a w głębi ukazuje się bogini, brzydka, koszlawa. Oto Kali, ponury kamień, o trzech oczach z ramionami manekina, karlica prehistoryczna!...

Potykam się o coś kosmatego, czarnego. To są inne kozy z podcinanymi głowami. Olbrzymie sępy krążą, szukając odpadków mięsa. Wchodzimy w korytarz pod gołym niebem, ciągnący się między innymi świąty-

niami. Tuż obok znajduje się ściek a woń jest tak zabójcza, że młoda belgijka, której podałem ramię, omdlewa prawie. Ponad nami, uciepiony do kamiennego wzniesienia, wsparty o kolumnę, stoi fakir z twarzą pyłem zbrudzoną i patrzy szklanymi oczyma na ten pstry, rozszalały tłum i nie widzi go wcale.

III.

Śziva Lingham.

Nareszcie przychodzimy do „świętej sadzawki,“ o wodzie zielonej, stojącej, w której moczą swe korzenie nędzne drzewa.

— Bogini tu się urodziła — szepcze mi tajemniczo bramin. On, cuchnący chorobliwie, jest tego dowodem... Ta Kali, to uosobienie zarazków chorobotwórczych... Tam—Dziedziniac Cudów, ze swemi okropnościami, rozmnożonemi fantazją azyatycką, zdającą się wpływać i na kalectwa; o takich szkaradach i ułomnościach i Goyowi się nie śniło.

Trzeba iść dalej. A! oto i świątynia Śziva-Lingham. Prosiłem konsułów, by nie dopuścili panie europejskie do widoku tego sprośnego bóższcza. Z przyjacielem moim i przewodnikiem udałem się do świątyni tworzącej koło, gdzie spoczywa kamień czczony.

Jest to pawilon otwarty na wszystkie strony; dach szpiczasty jak w pagodzie, podtrzymują słupy, a tafle zniżają się, wgłębiają się, by objąć aerolit starożytny i uwielbiany. Panuje tam nieustanna wilgoć, podtrzymywana wodą do obmywań przeznaczoną, ofiarami i pobożnemi łzami. Materiał, z którego zbudowany jest ten pospolity budynek, jest ten sam, co i we wszystkich świątyniach; — mówi on o biedzie kraju i nie może być porównanym ze wspaniałością pagod południa, ani z marmurową prostotą meczetów północy. Trywialnym jest ten kiosk z szarego kamienia, pozbawiony sztuki i tajemniczości; ale takim, jak jest, nie przestaje być nadzwyczajnym i uderzającym. Tak, w tych Indjach, teraz zwyrodniałych w niewoli, zdobytych przez anglików, zaprzędanych agencjom podróżniczym, świad-



czy on o upartej żywotności kultu przedwiecznego, którego żadna cywilizacja, żadno najście barbarzyńców, żaden kataklizm moralny czy kosmiczny nie mógł wykorzeńić. Dusza mistyczna tych czcicieli i czcicielek Sziva-lingham, które krążą koło mnie, identyczną jest z duszą mistyczną pierwszych pogan, którzy w pierwszych początkach rozwoju ludzkości wierzyli, że oddają część Bogu stwórcy, przedstawionemu w postaci, symbolizującej płodność. Azja pozostaje niewzruszoną w skrytościach swych uczuć i myśli. Barwność, malowniczość widowiska, tłumy wszelkie filozoficzne refleksje. W środku, widoczny po przez kolumnadę, wznosi się kamień czarny, wysmukły, potężny, aż do wspaniałości...

W około niego kobiety, hinduski, rzucają się na kolana. Wierne kultowi, zrodzonemu na początku świata, te małżonki — skromniejsze jednak od innych — w jakiejś nadzwyczajnej aberracji, stającej się prawie szacunku godną, z bezwstydem pełnym skromności rzucają na ten brutalny symbol stworzenia cudne kwiaty, otaczają go swymi włosami, wonnościami przepo-

jonemi, leją masło roztopione, wodę Gangesu i zasypują go pocałunkami!...

IV.

Łoże boleści i rozkoszy.

W jednej z uliczek tej świątyni Kali, w niezliczonych labiryntach, jakaś ręka wychudzona wyciągnęła się do jednej z młodych panien, które konsulowie odprowadzili od widoku obrządków ohydnych. Panienska cofnęła się ze zdziwieniem.

Tubylec o wieku nieokreślonym, gdyż niepodobieństwem było odgadnąć czy włosy jego i broda rzeczywiście była siwa, czy też tę barwę starości nadał jej popiół, którym całe jego, ciało było osypane, — błagał o jałmużnę; oczy jego przygasłe, miały wyraz cierpienia, a ruch ręką uczyniony, więcej witał i błogosławił, niż domagał się. Nagim był, leżał na desce najeżonej gwoździemi, wspartej o świątę mur.

Brunatne jego ciało spoczywało nie dbale na ostrzach rdzawych od krwi, spływającej od głowy do stóp. Euro-

pejka, wzruszona tak niezwykłym widokiem, zbladła. Dusza jej wahała się między uczuciem wstętu, a litością i podziwem. Ujęła mą rękę, czując po raz pierwszy może, piękność rzeczy strasznych... Zadziwiająca słodycz rozlana była na twarzy tego indusa, w pozie malowała się wzgarda dla cierpienia, męka zwiększała spokój jego.

Rozgorączkowany kapłan, z głową ogoloną i długim kosmykiem spadającym mu na ramiona, szedł za nami prześladowając nas cuchnącym oddechem. Końcami palców dotknął z uszanowaniem nóg ascety.

— To wielki święty; kilka już lat leży bez skargi na tych ostrzach żelaznych. Żyje z drobnych monet, rzuconych mu przez pielgrzymów. Szczęśliwym jest jednak, chociaż ciało jego cierpi, gdyż dusza obcuje z nieśmiertelnym duchem Szivy.

Nagle wymachując laską, by usunąć tłum pokorny a brudny, wpadł na nas mój towarzysz, obieżyświat. Widok ascety podniecił go, jak zniewaga osobista.

— To obrzydliwe — krzychał — to wstrętne! Jak można pozwolić na ta-

kie widowiska? Przedewszystkiem, ten człowiek zupełnie nago przedstawia się oczom przechodzących. A przysięgam, to zły przykład, takie męczeństwo, którego nikt nie wymaga i które do niczego nie prowadzi. Anglicy, ludzie cywilizowani, powinni zabronić ludziom czynić z cierpienia komedję!

Towarzysz mój, zdradzający dotąd usposobienie zuchwałe, ironiczne, mówił tym razem z całą powagą obrażonej duszy. Humanitarne pojęcia Zachodu, burzyły się w tym wietrzniku na widok tego pobożnego szału. Nie mógł uwierzyć w szczerość tego człowieka; a jednak, aby go potępić, przypuszczał, że jest uczciwym, ponieważ zarzucał mu ostentację w tej dobrowolnej torturze.

Towarzysz mój mówił to po angielsku — od chwili przybycia do Kalkuty, nawet w poufnych naszych rozmowach, używał języka zwycięzców — więc kapłan idący za nami, odpowiedział:

— Wszyscy ludzie szukają szczęścia, to jest ich obowiązkiem, a nawet prawem; ale droga prowadząca do tego celu, rozmaita jest, zależnie od dusz. Wy ludzie Zachodu, ubiegacie się o pieniądze, załatwiacie interesy, przebiega-

cie świat. Pragniecie dobrobytu, komfortu, zbytku. U nas wielu sądzi, że lepiej pozostać bez ruchu, odrzucić wszelkie odzienie, znosić najstraszniejsze niepogody, a nawet zdecydować się na torturę fizyczną, aby wielbić już w tem życiu naszą nieśmiertelność! Nikt nie zdoła powiedzieć, co jest lepszym. Tu chodzi głównie o to, by być szczęśliwym i nie przeszkadzać innym, gdyby nawet ich sposób postępowania nie zgadzał się z naszymi gustami.

Rzuciliśmy miedziaki i srebrniaki torturowanemu; uśmiechnął się nieznacznie blademi wargami i poruszył ręką jak wachlarzem, na znak podziękowania. Wymówił kilka słów sanskryckich, sprowadzających szczęście sercom litościwym.

Czy słyszał naszą długą dysputę? Może. Ale ona go tyle obchodziła, co te muchy krążące nad jego ranami. Rozwiązał na swój sposób problemat życia. Dawny to sposób szukania szczęścia w cierpieniu. Znali go pierwsi chrześcijanie; ból nie jest jedynie ukośnieniem mistyków. Indus ten nie zastanawiał się z pewnością nad tem

postanowieniem ascetycznym. Nie było ono naturalnym owocem epoki, ani praktycznym wnioskiem osobistej filozofii. Posłusznym był wrodzonej mu obojętności, — a raczej poszedł on za głosem duszy swej rasy, która po tysiącnych doświadczeniach, zaczęła pogardzać pracą, odrzucać brutalne lub ucziwe przyjemności, a przekładać ponad to wszystko — niedostatek i zupełne zaparcie się siebie. Cierpieć, wyrafinować swe cierpienie, oto co pobudza imaginację artystów i zapewnia podziw tłumów.

V.

Adoracya małżonki.

Po tylu krwawych, strasznych widowkach, zgnębiony, usuwam się w cień świętego drzewa, o lekkich listkach, i widzę na małym ołtarzyku, na niewielkiem wzgórzu, symbol Szivy, spoczywający tym razem na muszli.

To związek fizyczny, w kamieniu wyryty i czczony... Jestem zrażony tą religią godła płodzenia i rzeźni, reli-

gia — co zdala wydawała się nam tak czysta, upajająca.

Jedno ramię Gangesu, przenika do dzielnicy świętej; woda w niem zamulona i wolno płynąca, prawie stojąca w blasku słońca wydaje się trędowną żebrazką; woda ta, przepełniona gnijącymi zarodkami, jest gęsta.

Tam kapłani, pielgrzymi, mężczyźni, kobiety i dzieci przybyli z rozmaitych zakątków półwyspu, schodzą po schodach ślizkich od kwiatów rozdeptanych i różnych odpadków, i zanurzają się, sądząc, że się oczyszczają w tem czcigodnym błocie.

W pobliżu szopa, raczej weranda, daje schronienie tym pobożnym podróżnym. Malowana przez artystów zapewne nowoczesnych, natchnionych jednak estetyką przodków, przebiegła a naiwną, wdzięczną a niezręczną. Roztacza się przed memi oczami ta mitologia potężna a dziecinna, w tym pochodzie bogów, tancerzy, muzykantów, lub uniesionych zachwytem ludzi. Kapłan drżący od febry, z zatrutym oddechem poszedł za mną.

Chociaż ogłupiony tem życiem przedajnem i niezdrowem, domyśla się, że

doznaję wstępu na widok tej rzezi i sprośnych okazów.

— Widzisz pan — mówi: — bóg Sziva (cześć mu), którego straszna potęga jest panu znana, przedstawiony jest tu pod postacią małżonka, skruszonego, pokornego, u stóp żony swej, bogini Parvâli „o rybich oczach”.

Rzeczywiście, pomiędzy temi freskami jaskrawemi, przedstawiającemi zgiełk wojenny, nadmiar namiętności i święte uroczystości, to malowidło delikatnych odczuć zadziwia i pociąga. Zbliżam się. To istotnie bóg Sziva w tej nieoczekiwanej pozie adoracyi i miłości. On, niebezpieczny asceta, uwieniczony przez węża (kobra) odziany w skórę czarnej pantery, piękny jak marzenie i śmierć, pochyla się przed swą żoną i służką, która mu przebaczyła. A gdy rozpytuję bramina towarzyszącego mi, o znaczenie tej sceny legendarnej i zapewne symbolicznej, on mi tłumaczy:

— Bóg, najświętszy ze wszystkich, chcąc żyć tylko z samym sobą w komtemplacyi nieskończoności, pogardził swą małżonką, która przygotowywała mu łoże w śniegach Himalaya i nosiła mu żywność potrzebną. Porzucił

ją. Włóczył się z miejsca na miejsce, spał, gdy uczył zmęczenie, jadł korzonki i owoce, jakie znalazł pod ręką, ale nie mógł spać i usta odrzucały strawę nędzną. Wówczas, chociaż był bogiem, poczuł się chorym i nieszczęśliwym. Wrócił z sercem skruszonym do tej, którą opuścił, a która wiernie czekała na niego. Oddał jej cześć, wołając:

„Bez ciebie, o! kobieto, nikt nie może żyć i być szczęśliwym, czy on bóg, radża, asceta, czy żebrak.”

Otaczała nas atmosfera przesiąknięta nieznośnym odorem, płynącym z ciał czarnych; jaskrawe łachmany zdradzały straszną nędzę tych ciał, przybyłych do starożytnej świątyni, by błagać o Litość, nawet pod postacią Okropności. Wzruszyły mnie szczególniej oczy kobiet indusek. Były to w ocembrowaniu powiek wązkie studnie bezgranicznej rezygnacji. Cała dobroć ludzka, umiejająca również szanować życie aż do najwyższego skrupułu, ukazywała mi się w tych oczach zgnębionych i bolesciwych. Darowałem krwawy kult, błagania i pocałunki sprośnego kamienia. Zrozumiałem dlaczego Kali, morderczyni, nazwaną jest ró-

wnież Matką Dobrodziejką. Przed mężkością Szivy, symbolem siły i płodności, wzniesione łona matek i usta małżonek pochylają się dla kultu wstępnego i naiwnego. Ale bóg z kolei, pochyla się przed tą, co spoczywa i czci tę, co żywi...

Te stare naturalistyczne religie, kryją w swych brudach — perły nieporównane.

Wróciliśmy do naszych mieszkań. „Boy” indus, pod pretekstem, że należy dać napiwki, wypróżnił zupełnie nasze kieszenie, a widziałem, że znaczna część pieniędzy u niego pozostała.

To, co widzieliśmy nie znikło bez śladu. Mamy jeszcze girlandy, na czołach plamy czerwone, a inne czerwone na ubraniach...

Kobiety drżą; czy to pod wpływem wspomnień, czy też zapadłej nocy, tam w Kali-ghat—przeradzającej się w nieustanną orgię? Gdyśmy weszli do naszych pokoi pozbawionych drzwi, mój towarzysz klnie, jak szeregowiec, ja kładę się w milczeniu. Ten widok nadzwyczajny, dziś oglądany, przynosi mi o tysiące lat wstecz...

W nocnem ubraniu rozciągam się pod „mustikierą;“ nie ustaje szmer skrzy-

dlatych owadów bijących o muślinową zasłonę, świerszcz nie przestaje śpiewać na tarasie; jedynie „boye“ nasi śpią pod progiem, i w chwili gdy zasypiam o świcie, budzą mnie kruki...

VI

W „pancy.”

Jestem w „pancy,” to jest w gondoli na Hongli. Oto Ganges! Pływam po raz pierwszy. Ta rzeka najświętsza ze wszystkich, według legend bramińskich, wypływa z samej głowy boga Szivy, który jest zarazem wzniosłym samotnikiem i górą śnieżną.

Moja „pancy” jest łódką wymarzoną, lekką, cała z bambusu; namiot drewniany, pod który się wsuwam, tak jest niski, iż tylko leżeć lub siedzieć skurczonym można. Pozy te uspasabiają do marzeń...

Niedbale popycham drewniane zasłony okien i ukazuje mi się ten „Hongli Bridge,” wspaniały most Howrak, z tłumem białych, lub czerwonych bengalów, wchodzących, lub wychodzących

z Kalkuty, to pieszo, to w tych „tika garry“ wózkach ekwilibrystów, czasami w lekykach pół otwartych, gdzie bulgocze brzuch tłustego „babu,” gdzie uśmiecha się twarz szczupłą, o pałających oczach, jakiejś nowożytniej Sakuntali. Idą i idą, ruszają się, toczą te łachmany kolorowe, wiatrem miotane, nie zatrzymując się, jak lina kołem obracana.

Gdy tak suniemy po tej mętnej wodzie, spostrzegam wybrzeże, gdzie ruch nadzwyczajny przypomina wybrzeża londyńskie. Setki parowców „Britisch-Indian“ przewożą chłopów Bengalu na rynki olbrzymiego miasta. Yachty spacerowe oczekują na gości, parowce całą siłą pary dążą ku Ceylonowi, rajowi ziemskiemu, ku Egiptowi, Marylii, ku ojezycznemu...

Ulice nadbrzeżne nieustannie rozszerzane, rozbrzmiewają ruchem wściekłym. Napchane są produktami Azji: paki z indygo i herbatą przywieziona z Béhar, Assam i Darjiling; węgiel z okolic Kalkuty; cudne dywany, kosze żółtych bananów. Naga ludność roi się między towarami i pociągami, przewożącami je, jak wielkie żyjące rośliny, spalone w słońcu. Poranek.

„Ghats“— ogromne schody zanurzone w wodzie, po których płynie pstry tłum pobożnych kąpielników. Z zadziwiająco, umiejętną niewinnością kobiety rozbiegają się i ubierają w oczach wszystkich.

Nadstawiam uszu. Stary bramin, ze świętym sznurem na szyi, z pomarszczonymi rękami, złożonymi w czarce, — śpiewa, składając ofiarę słońcu, z odrobiny tej brudnej wody i świętej, na cześć przodków, pozbawionych światła dziennego.

Werset sanskrycki dochodzi do mnie, lekkością powietrza przyniesiony. „Om! Brama! Kripai - Kerolam.“ „Brama, niech się spełni dobroć twoja.“ Prześliczna modlitwa, prosząca Boga tylko o litość...

Odbywają się jeszcze inne zupełnie sielankowe sceny. Pokorni duchem pragną, by zwierzę domowe, krowa mlekodajna, wół, tak ładny tam i kochany jak dziecko, korzystał z dobroczynnej kąpieli. Ale zwierzę upiera się, parska, nie chce zanurzyć się w płynie, gdzie gniją lotusy.

Indus bić go nie będzie. Wszelkich sposobów używa, by nakłonić zwierzę, jak namawia matka opierające się

dziecię. Delikatnie popycha je, namawia, pieści, i w końcu na rękach wnosi...

Nie jestem sam w mej gondoli. Amerykanka i mnich Szivy, siedzą obok mnie, w tem bambusowem pudełku, chwiejącem się na rzece, jak dziecinna zabawka.

Więcej jużby się tu nikt nie zmiescił, gdyż ja i amerykańka nie umiemy siedzieć z nogami podkurczonymi w pozie rozmyślającego Buddy. Udamy się do „Ramarisnamath“— najślawniejszego klasztoru indusów w Bengalu. Tam rezyduje „Swami Vivekananda“, przewodca Nowej-Indyi. Mnich towarzyszący nam jest jego bratem mistycznym. W swych żółtych draperyach zachowuje on milczenie; często zamyka oczy, zdaje się skupiać dla jakiejś ekstazy. Wysoka, nerwowa, z mięśniami z żelaza, amerykańka, w nieustannem jest ożywieniu. Z zapalem podziwia handlową gorączkę, przypominającą jej ojczyznę, to znów rzekę, tak szeroką jak Amazonka, a ja tymczasem smutnym się czuję, patrząc na ten olbrzymi handel, z którego Indye tak mało korzystają, na tę nędzę ludu w łachmanach, na ten piękny

krajobraz, zepsuty przemysłem i żądzą zysku. A pomimo to Ganges — zgniły jak woda w portach gdzie prześladowuje nas woń Kalkuty — zepsute cytryny, tytoń zamoczony w wodzie róžanej — staje się w blaskach jutrzeńki — cudnem zjawiskiem. Palmowe drzewa jungli odepchnęły doki, fabryki zakryły świątynie... Jedno niebo uniknęło świętokradztwa, popelnionego przez ludzi Zachodu. Napróžno dymy parowców i fabryk wznoszą się pod to wyjątkowe niebo, niebo miłości, nad tym zgiełkiem czarnym; pozostaje ono pawilonem nieskalanym, nad splamioną kołyską...

VII.

„Humtollah burning Ghâth.”

Mnich uczynił ruch; wskazuje on nam inne dymy wypływające z ognisk widzialnych, pełnych iskier, skaczących, ezerwonych płomyków. Jeżeli raczył zbudzić się ze swego marzenia, to już widocznie widok wart tego zachodu. Wskazuje nam coś potężnego i rytualnego: w pośród doków, w kamiennem ogrodzeniu bez dachu, wyciąga się

w tarasach i schodach na Gangesie. „Humtollah Burning Ghat“ szepecze mnich. Po przez kolumny ukazują się wysokie, pałace się stosy, na których ogień nieustannie jest podtrzymywany. Woń kuchni i pożaru rozdyma nam nozdrza. „Pancy“ zbliża się do wybrzeża, przewoźnicy chciwi „bakczyszu“ odgadli naszą ciekawość.

„Śliczne, cudowne!“ woła amerykanka, klaszcząc w ręce. Nagle błędnie, zrozumiałwszy, czem jest ten widok wspaniały. Z tej smaženiny dzikusów dochodzi do nas odór spalonych ciał ludzkich. Teraz rozróżniamy wyraźnie szczegóły.

Między czterema palami zwalono kłody drzewa; na nich leży trup, niedbale owinięty w białą draperyę, więcej przypominającą koszulę nocną, niż całun. Niema w niej tych wyszukanych załomów i zagięć, jakie żyjący nadają swym bawełnianym i muślinowym szatom. Pozbawiony tej iskry duszy kosmicznej, umarły jest dla tych pantheoideologów rzeczą bezwartościową. równającą się zeschniętym liściom, jesiennym wiatrem unoszonym. Grabarze w białych bluzach, o twarzach hyjen, z głowami ogolonemi, z których

zwisa jedyny kosmyk włosów, podobny do włosienego ogona zwierzęcego, z piersią nagą, by wystawić sznur braminów, z nogami w wąskich spodniach i bufiastą płachtą—uśmiechają się do nas ponuremi oczami, w których skrzy się żądza zysku i chciwość, nieświadomi z przyzwyczajenia i fachu, że spełniają czynność ohydną. Tu, przy akompaniamencie „meutrams,“ pacierzy śpiewanych przez rozrargnionych bonzów — palą się trupy.

Widzę nieboszczyków przeraźliwie chudych. Musieli zginać z nędzy. Po między gorejącymi gałęziami członki ich wydają się tak chude, pomarszczone, stwardniałe, że łatwo by je wziąć można było za cienkie gałązki zeschniętego drzewa. Inne ciała pękają w ogniu, jak pęcherze, szyje nabrzmią, brzuchy wydęte; to są zapewne zadziwieni... Wesołe twarze żywych pochylają się, a ręce podsuwają gorejące pochodnie, by podniecić płomień. Przy murze umieszczona lampa gazowa świadczy, że tu praca nigdy nie ustaje; dniem i nocą pracują, by zniszczyć żniwo ludzkie, tym strasznym klimatem zżęte. Małą suchą rączką, drżącą teraz ze wzruszenia, amerykanka,

wskazuje nam na węglach, spalonych obok kości zczerniałych, kilka kosmyków włosów, bezkształtne oczy, pozabawione powiek, trzymające się jeszcze w czaszce, o zwisłych czarnych policzkach.

Okropny ten widok zmusza nas do milczenia... Mnich, nasz towarzysz, podnosi wówczas ramię okrągłe jak u pełnej kobiety.

— Dlaczego lękacie się?—pyta—cięża są tylko szata, dusza ma ich tyśiące, dusza jest nieśmiertelna!

VIII.

Uniesienie.

...Miasto ucieka. Doki senne, długie na dwanaście mil angielskich — kończą się. Podnosi się Ganges, wokół nas pomyślny wiatr unosi nas w stronę klasztoru. Cały biały, ze swym ogrodem palmowym, dominującym nad trójzębem pagody, wita nas ze swych gościnnych tarasów. Amerykanka spoważniała. Przypomina sobie, że w Nowym-Yorku słyszała tego Virekananda, rzucającego urok na du-

sze. Odrazu przyjęła uczynioną propozycję, by się ze mną udała. To niezmeńczona podróżniczka. Byłem jej zaprezentowany w Paryżu podczas wystawy... Później spotkaliśmy się w Kairze; a wczoraj w Kalkucie przed „Great Eastern“, poznałem jej oczy stalowe, sylwetkę czystą nienasyconą.

— Jakże świat jest małym! — zawołała. — Ziemia jest rozdrożem tylko, po którym tam i tu krzyżują się ludzie.

Virekananda stoi na tarasie. Olbrzymie jego oczy pochłonęły całą twarz. Człowiek ten, o cerze prawie czarnej, odziany jak aryowie z przed sześciu tysięcy lat, zrodzony tak daleko od mego zakątka ziemi, mówiący innym językiem, oddający cześć innemu Bogu, był moim najlepszym przyjacielem. W Paryżu przebywał kilka tygodni w moim domu; razem przebiegliśmy Konstantynopol, Grecję, Egipt. Swym geniuszem i niebezpiecznym szalem wcielał on dla mnie te Indyje, które kochałem, jak ojczyznę mych marzeń, Eden, gdzie żyje Ideał.

Wszystkie zagadnienia teraźniejszego i przyszłego życia przedyskutowaliśmy. Podobnie, jak wielki Tołstoj, ten indus, zastosował życie swe do

myśli, żyjąc jak włóczęga, wyrzekając się wszystkiego, co stanowi szczęście i dumę innych ludzi: rodziny, miłości, sławy pisarza i artysty. Mnie! Historia jego jest „reprezentacyjna“ jakby powiedział Emerson. Będąc dzieckiem, spotkał mędrca „parahamsa“ czy „mahatma“ — wielką duszę. Był to bramin, nie uczyony lecz potężny w ascetyzmie, którego uczniowie nazywali „Ramachrisma“; imię to łączy w sobie dwóch bohaterów Indyj i przypuszczano, że ten jest ich wcieleniem. Ramachrisma nie znał nigdy sanskrytu, będącego jednak mową świętą; nie pisał nigdy, nie podróżował, prowadził swe życie delikatne i krótkie w ogrodach świątyni Kali, na północ od Kalkuty. Przemawiał do swoich, gdy ekstaza nie trzymała go w swych głębiach.

Dziecię, mające stać się jego uczniem ukochanym, piło z zapalem wiedzę mistrza; a ponieważ jego serce patrioty skrwawiło się, patrząc na nędzę i rozpacz kraju — patrzył o jego odrodzeniu, zgodnie ze wzniosłymi radami samotnika.

Ten, nazwał go Virekananda (szczęśliwe sumienie) i kazał mu przebiegać

świat, aby nabyć potrzebne reformatorem doświadczenie; wkrótce umarł. Młodemu uczniowi zdawało się, że stracił duszę. Stał się Samyasim^{*)} wyrzekł się nawet odzieży, obiegał Indye, osypany popiołem, jadając to u radżów, to u najbiedniejszych chłopów, śpiąc na werandach lub pod drzewami, oplakując stratę swego mistrza, przysięgając sobie uczynić nieśmiertelną i skuteczną otrzymaną naukę. Był to rodzaj religii powszechnej, bez określonego kultu, z równym szacunkiem dla wszystkich bogów i wszystkich posłanników. Gdy czuł się wzmocniony tem życiem tułaczem nędznego żebraka, udał się do Ameryki, gdzie zdobył swemi konferencyami bajeczne powodzenie. Ale utracił tam do reszty wątłe zdrowie bengala, skazany dziedzicznie na chorobę cukrową i chorobę wątroby. Ale to go nie obchodziło, przywoził bowiem sumę wystarczającą, by założyć klasztor i zgromadzić tam braci, uczniów jednego mistrza.

*) Żebrek, udoskonalający ducha, przez zupełny wyrzeczenie się wszystkiego.

Takie wymówił słowa, gdyśmy stanęli na progu jego domu:

— Jestem swobodny, przyjacielu, znów swobodny! Wszystko oddałem; pieniądze te ciążyły mi jak kajdany. Teraz jestem najbiedniejszy w całym kraju, najbiedniejszy na świecie całym. Ale dom Ramachrismy zbudowany i duchowa jego rodzina znalazła schronienie.

Ujrawszy amerykańkę, skłonił się tym gestem słodkim, który na zachodzie modlitwie towarzyszy: złożył ręce i pochylił głowę. W takiej to pozycji przedstawione są na obrazach małżonki bogów indyjskich, w obliczu swych panów niebiańskich.

Poczem zaprezentował nam całe zgromadzenie.

— Oto moi bracia i moje dzieci — rzekł.

Pod wspaniałemi turbanami uśmiechają się do nas młodzi ludzie, oczami najwniejsze, nie znającemi życia; starcy oderwali się dla nas od rezmyślań o Vedach, a ich pochylone czoła utatuowane były znakami Szivy. Sudrasi, bramini, paryasi, wszyscy tam byli zebrani, gdyż prorok ten zniósł wszystkie kasty. Bóg jest równym

wszędzie. Wziął nargile z ust jednego z uczniów, pociągnął dym, który zapachem róży otoczył nas wokoło i podał nam lotusy.

— Chodźmy na taras—rzekł.—Przyjaciele moi przygotowują nam „tiffin“ (tak w Indyach nazywają posiłek, podawany w środku dnia).

Tam ujrzelśmy wstrząsający widok. Indyjskie świeże pola, pałacem słońcem zalane, sadzawki, podobne do zwierciadeł, które bogini, uciekając, porzuciła; lasy, jak aksamitne, delikatne kobierce; Ganges potężnym ramieniem zdawał się tulić ziemię miłosnym uściskiem.

Po drugiej stronie rzeki wznosiła się pagoda; przy niej wielkie drzewo, baobab, wyciągało swe potężne ramiona, które, zapuszczając korzenie w ziemię, stawały się znów drzewami.

— W cieniu tem mistrz mój Ramachrisma poraz pierwszy popadł w „samadhi“, to znaczy w ekstazę, i połączył się z bogiem. Dla nas miejsce to jest tak szanownem, jak w Budda-Gaya drzewo Buddy, przy którym Gantama zrozumiał swe zadanie.

Po upływie pół godziny, w celi swojej Virekananda podał nam sam

„tiffin“, składający się z jajek i świeżego mleka, z ziarenek aromatycznych i mangi — owoców tak doskonałych, jak nasze najlepsze brzoskwinie. Ale nie mógł zasiąść z nami. Przepraszal, że nie mógł nam dać mięsa. Klasztor nie używa tego pożywienia.

Dziwaczem jest to mieszkanie Swami, gdzie prostota anachorety indyjskiego zlewa się z praktycznemi meblami filozofa zachodu: fotel na biegunach, urozmaiconą biblioteką, gdzie Emerson i Spencer stykają się z publikacyami miejscowemi.

Jeden z uczniów podał nam betel, owinięty w zielony liść; zerwał to wszystko w ogrodzie. Zgryzłem; smak nikotyny i kwiatu napełnił mi usta, zęby poczerwieśniały.

— W całych Indyach palą i żują narkotyki — rzekł z uśmiechem „Samyasi.“ — Dla nas życie jest tylko snem, marzeniem; a co wy nazywacie marzeniem, to dla nas, przeciwnie, jest rzeczywistością. Wszystko, co dla was jest prawdziwem, rzeczywistem, realnem, bo dotykalnem i widzialnem, dla nas jest tylko igraszka — „Mai“ — (złudzeniem). Co zmienne i znikome, to nie warte kochania, nie warte na-

wet spojrzenia. Grody, sława zbytek, cywilizacje, cuda wiedzy materyjalnej, wszystko to znaleźliśmy przed wiekami i zniechęciliśmy się tem. Zabawki dziecinne, dla dzieci zrobione. Zbudzi-
liśmy się z tego brutalnego snu, w którym jesteście jeszcze pogrążeni, zamykamy oczy, wstrzymujemy oddech, zasiadamy w słodkim cieniu wielkiego drzewa, przed ogniskiem pierwotnym... Nieskończoność otwiera nam wówczas swe cudowne podwoje i wchodzimy w świat wewnętrzny, jedynie prawdziwy... Przekonajcie się sami... nie wielu europejczyków przeniknęło te tajemnice.

Przechyliliśmy się przez okno celi. Dzwonek zadźwięczał. W ogrodzie, pod figowem, indyjskim drzewem, mnisi usiedli wokoło, poruszali głową i plecami rytmicznym ruchem. Ten, co nam przed chwilą towarzyszył, śpiewał dziwnym tonem, przypominającym nasz pełny śpiew, ale weselszy i donioślejszy. Po środku dopalał się ogień w szarym popiele. Obok ognia wbity był trójząb Sziwy, uwieńczony girlandami. Wszyscy wpatrywali się w ogień, gdzie rezyduje Bóg. Wielki spokój płynął z tych organizmów za-

hypnotyzowanych przez duszę ognio-
wą, spokój straszny, dla nas upojonych ruchliwością, spokój, nad którym unosił się ten śpiew, jak skrzydło dźwięczące. A w blaskach słońca pszczoły krążyły nad temi rozmolonemi głowami; w głębi sąsienich obór, krowy wznosiły swe szanowne głowy, jakby łączyły się z dziwnym kultem, w którym człowiek powraca na łono natury i roztapia się w niej, nie umierając...

 IX.

W teatrze indusów.

Jakże długo „tika-eary“ sunęła, brodziła, skakała po brudnych ulicach miejscowej Kalkuty, gdzie błyszczą smutne światełka przekupni, małe lampeczki, bez szkieł, bez osłon, których drżący płomyczek, oświetlający sam siebie jedynie, waha się w ciemności i dymie. I wiecznie ta błotna wilgoć, idąca za tobą wszędzie, pełzająca po ciele, przenikająca wszystkie fibry, zaturwająca krew. Febrę odczuwa się tu, jak coś żyjącego, fluidycznego. Ma

ona nawet swój odór specjalny, na który składają się alkalia, zgniłe kwiaty i jarzyny, spotniała czarna skóra i wyziewy tytoniu indyjskiego, pachnącego różą wilgotną i santalowym drzewem. Jesteśmy nareszcie w „Star Theatre.“ Gospodarzem tu jest krajowiec, on również jest autorem przedstawianych sztuk. Są one odbiciem gustu tego przesądnego ludu, wrażliwego, egzaltowanego, który, nie umiejąc oddzielić rzeczywistości od złudzeń, lubi w tym samym dramacie rozkoszować się operą i cudownością.

Idziemy do naszej łoży, wyciętej jak mużułmańskie frontony. Teatrzyk jest wesoły, przyjemny, jasnym kolorem malowany, więcej włoski niż angielski. W foyer mury ozdobione są portretami rozmyślających ascetów. Lud ten nawet w teatrze myśli o bóstwie. Na ławach tłoczą się poważni „babu“ brzuchaci z szarfą muślinową, kilka razy przez piersi przewieszoną (jest to uniform znaczniejszych mieszczan). Inne łoże prawie są puste. Jesteśmy jedynymi Europejczykami. Łożę środkową zajmuje jakiś radża; jego brylantowa kitka wydaje się płomiennym pióropuszem, a szyja otoczo-

na wspaniałemi perłami. Oczy pełne atawicznej niemocy, wyrażają młodzieńczą naiwność i cały przesyty, zbytkiem wywołany.

Otacza go świta w turbanach, w zabawnych kostyumach, łączących mody angielskie ze wspaniałemi krajowemi draperyami.

Na górze, za przegrodzeniem, drżą ozdobne zasłony, wyginają się w niedbałych pozach ciała, pałające oczy skrzą się ciekawością po przez szczeliny boazeryi. To są kobiety Bengalu; najżywsze, najbardziej urocze, najsprytniejsze ze wszystkich kobiet indyjskich; piękność ich i subtelność nasuwa na myśl Włochy i Francję. W najpatetyczniejszych chwilach dramatu, pomimo rzeźbionej przeszkody, kryjących je przed moim wzrokiem, tam badam drgnienia bólu lub nadziei. Tam w górze bije tajemnicze i prawie niewidzialne serce tłumy indyjskiego.

I orkiestra charakteryzuje ten teatr krajowy. Składa się ona z kilku muzykantów, trzech lub czterech, trzymających dziwne instrumenty, z których płyną, wywołane pieszczołą palców, skargi monotonne, jakby jęki bóleści

zdzieciniałych starców. Przypomina to melodyę arabską, którą słyszałem w teatrach Kairu, ale bez szorstkości, bez tego czegoś gardłowego, ironicznego, pochodzącego z Egiptu...

Aktorki o skórze brunatnej, bardzo są enotliwe; łoża ich są niedostępne. Malują się, by się ukazać na scenie „białymi“ zgodnie z typem aryjskim, w który się wcielają.

X.

„Wygnanie Sity“.

„Historya“, której słucham, jest uroczą.

Spada ona z tego olbrzymiego bukietu „Ramajany“ jak listek lotosu słodki, a krwawy.

W pierwszym akcie, w pałacu Ramy, widzę króla z Onda, prześladowanego przez przykry sen. W tragediach indyjskich — sny grają rolę ważną; naturalniejszem jest to u nich, niż u naszych klasyków, bo te ludy nerwowe, gardzące życiem pozytywnem dla wspaniałości życia wewnętrznego,

pozostają pod wpływem obrazów, które nasza nieświadomość kojarzy podczas snu; więcej niż my również skłonni są oni do przeczuć. Rama więc śni, że wdowy wytepionych jego wrogów szydzą z cnoty Sity, małżonki jego.

Była ona, jak wiadomo, porwana niegdyś przez Rawana, potwornego króla Lanki, który nie mógł jej zniewolić ani namową, ani siłą.

Nareszcie, odebrana przez swego małżonka, Sita przeszła przez próbę ognia i dowiodła, że czystą pozostała. Ale serce indusów jest zazdrosne i namiętne. Nie darują kobiecie, choćby ciążyły na niej tylko podejrzenia; tak idealnie i wzniosłe przedstawiają sobie matkę. W tej chwili wchodzi Durmukha, rodzaj księcia szpiegów, prefekta policji, że tak powiem; krąży on po ulicach, zatrzymuje się przy drzwiach, udaje że zasypia na werandach, aby pochwycić urywki rozmów i donieść swemu panu, jaką jest opinia publiczna. Otóż mówią, że próba ognia, była tylko złudzeniem magicznem, a ponieważ ceremonia odbyła się w Lanka, nikt w Onda nie może zaświadczyć o tem. Rama waryjuje prawie, słysząc o takim skandalu. Trze-

ba widzieć gesta rozpaczliwe, pozy— zresztą szlachetne—aktorek gotowych do młodości przy każdej perypetyi dramatu, Ramy, dzielnego wojownika, i wszystkich innych osobistości; jeden tylko Valmiki, pustelnik, wielki poeta, z którym spotkamy się w następnym akcie, zachowuje panowanie nad sobą. Wszystko pałające, bohaterskie, wrażliwe aż do szału, słońcem jakby na zewnątrz wywołane, gorejące i promieniające jak ono, nie znające innych nocy—prócz śmierci!

Dekoracye zmieniają się często: oto przeniesieni jesteśmy do ogrodu królowej, urządzonego według wzoru cudownego parku, w którym była uwięziona w Lanka. Wątła, w szaty barwne odziana, śpi na gazonie podobnym do dziwnego ściętego kwiatu. Wchodzi służąca, wychwalając urok natury śmiejącej się w około.

— Sniło mi się, — mówi budząc się Sita— że karmiłam dziecię u boku Ramy.

— Ten sen stanie się wkrótce rzeczywistością— odpowiada siostra Rama która właśnie weszła. — Ale Sita nie słucha.

— Gdzie mój małżonek? — woła ona;

zdaje mi się, że jestem na wygnaniu, gdy go nie widzę.

Kobiety, nawet w Indyach są ciekawe. Siostra Ramy nie daje spokoju Sicie, domagając się, by jej opisała rysy tego złego Ravany, który ją uwięził, miał dziesięć głów i dwadzieścia ramion.

— Nigdy nie podniosłam oczu na niego — odpowiada wstydliva kobieta; — miałam nieustannie powieki opuszczone; — ta skromność jednak sprawiła, że m go widział. Gdy raz w swym wozie nadpowietrznym, przewoził mnie przez Ocean, patrząc w niebieskie głębie, ujrzałam w ruchomem zwierciadle, potworny widok.

Przyjaciółka nalega, zapytuje; Sita kreśli trzcina na piasku olbrzymie rysy wroga. Nieszczęsna uległość! Małżonka znów usnęła, a podejrzliwy, szukający ją Rama, spostrzega z gniewem, nakreślony obok niej — portret tego, który ją porwał.

— A więc zazdrośni mają racye; dziś nawet nie zapomniała potwora!

Zirytowany mąż każe Sicie pójść do lasu, z wizytą do córek pustelnika. Biedny bohater! oto żałuje swych zwycięstw i oplakuje tych co zginęły, dziel-

nie pomagając mu do uwolnienia niewiernej! Lakszmana brat jego przyrodni, towarzyszyć będzie królowej do jungli, dokąd jest ona wygnana. Naprawdę oburza się i błaga Lakszmana, Rama jest niewzruszony. Należy zwrócić uwagę na śliczny szczegół, zgodny z naturą ludzką; wszystkie osoby w dramacie ani chwili nie wątpią o cności Sity; jeden Rama, jej małżonek, ten, którego kocha i który ją kocha, wierzy — że zblądziła. A jednak Rama jest najlepszym z ludzi; co mówię? zgodnie z mitologią indusów jest on wcieleniem Visznu. Ale miłość zaślepia i czyni niesprawiedliwymi ludzi i bogów.

Akt następny jest jakby skąpany we łzach. Rozgrywa się kolejno to na jednym, to na drugim wybrzeżu rzeki Sarajon. Ludzie nie uprzedzili Sity, ale serce jej niepokoi się, intuicyą odczuwa jakieś nieszczęście, przepowiada jej to natura i zmierzch. Nawet Sumantra, wierny woźnica Ramy, cierpi strasznie nad tą niezastużoną karą. Grzmi; wybuchająca burza zdaje się być łkaniem płynącym z nieba...

— Dlaczego Rama nie towarzyszył mi? — a gdy Lakszmana milczy, smu-

tek tej, którą się widzi wygnaną, nie ma granic. Cierpienie przyspiesza w jej umyśle pracę widzenia. Przeżony Lakszmana ucieka. Sita musi zaznać zupełnego opuszczenia. Szczęściem, krzyki jej usłyszał ten, co wstępuje się w szmery lasu, by tworzyć poemata. Valmiki, samotnik, piewca wielkiej epopei narodowej „Ramajany“ przybiega w swej szacie z liści, i w swych starych, zawsze silnych ramionach, unosi Sitę, czystą, nieszczęśliwą Sitę, a jego długa biała broda jak płaszczem okrywa ją całą.

I Rama pocieszyć się nie może po dokonaniem okrucieństwa; włości się na drugim brzegu Saraju, oplakując stratę tej, którą kochał. Zdala, równolegle szedł za nią. Gdy Lakszmana, brat przyrodni i Sumantra wierny woźnica, wracają do niego, bohater pada zemdłony. Co robić? Miłość zwyciężyła zazdrość, ale w sercu jego miłość ustąpić musi wobec honoru, domu i pracy nad ludem i krajem całym. Rama nie będzie starać się o widzenie się z Sitą, ponieważ poddani jego mogliby wątpić o niej. Żona królewska nie może być podejrzaną nawet nieśluszenie...

Upłynęło lat kilka, między drugim a trzecim aktem. Sita dała życie bliźniętom rosnącym „w sile i mądrości“ pod opieką Valmiki, który kształcił ich bohaterskimi opowieściami z Ramajany. Nie wiedząc, że wielki Rama jest ich ojcem, nabrali szlachetności i odwagi, studiując jego charakter i czyny. Sądzą, że Sita z Ramajany, tylko z imienia przypomina ich matkę. Jaka to piękna scena, w której dzieci, pytają małżonkę, zawsze wierną i kochającą, jak Rama mógł być tak okrutnym, by skazywać na wygnanie Sitę!

Ich dziecinna intuicja blizką jest odkrycia tajemnicy; ta Sita z epepei tak podobną jest do ich matki; wszak i ona sama, opuszczona. Ale ostrożna matka zdobywa się na heroizm; ukrywa prawdę, aby imię Ramy zawsze czczonem było przez tych, którzy nie wiedzą jednak, że są jego synami. Chętnie powiedziałaaby im: „Nie sądzicie.“

— Idźcie dzieci moje — szepcze ona ze ściśniętem sercem, — nie starajcie się rozumieć, głoście dalej sławę Ramy! Cudne bliźnięta, zręczne jak baletnice—posłuszne rozkazom, bawią się, śpiewając hymny Valmiki.

* * *

Alikszara, córka pustelnika, współczująca nieszczęściom Sity, donosi jej, że mąż ma właśnie odbyć ceremonię Aszwamed Jajna. Polega ona na wypuszczeniu konia, w otoczeniu służby, która lata za nim po kraju całym, a żaden pan udzielny, ani wasal nie ma prawa stawiać koniowi przeszkody. Jeżeli nikt nie przyjmie wyzwania, to znaczy, że cała przestrzeń którą koń obiegł, należy do wyzywającego. Przed rzuceniem tego wyzwania, należało odbyć tradycyjną ceremonię w towarzystwie królowej. Ponieważ Rama nie wezwał Sity, ta dopytuje się córki pustelnika:

— Która z księżniczek była tak szczęśliwą, że ją Rama w tej okoliczności posadził u swego boku?

— Nie było żadnej—odpowiada młoda dziewczyna — kazał ze złota ulać twoją statwę i to ona przyzdawała ceremonii.

Sita, wdzięcznością przejęta, błaga bogów, by jej miłość dla Ramy i oddanie się, pozostało niewzruszone i rzuca sama na siebie potępienie, że pozostaje oddaloną od takiego małżonka.

Tymczasem dramat, dotąd jedynie

namiętny — staje się wojowniczym: jeden z przyrodnich braci króla, na czele armii zwycięskiej, dowiaduje się, że dwóch wyrostków pochwyliło konia niosącego wezwanie.

— Śmiesznie byłoby karać dzieciaki! mówi wojownik. Idźcie i łagodnymi słowami nakłońcie ich, by konia wypuścili!

— Ale — woła posłaniec — to nie są zwyczajne dzieci; mają w rysach podobieństwo samego Ramy i chcą stoczyć walkę.

Kusza, młodszy z bliźniąt, walczyć będzie z najmłodszym bratem Ramy. Wojownik dziwi się temu nadzwyczajnemu podobieństwu.

— Jak się nazywają wasi rodzice?

— O ich nazwisko walczyć będziemy — brzmi odpowiedź.

Brat króla pada śmiertelnie rażony, bliźnięta padają sobie w objęcia, przysięgając sobie znieść wszystko, co mogłoby matce ich przynieść jakąś troskę.

Naturalnie nie na tem się kończą czyny tych cudownych i strasznych dzieci; za każdą sceną zmieniają się teraz dekoracje: to ukazuje się mały domek z gałęzi spleciony, gdzie mieszka Sita, niespokojna i trwożna,

z przyczyny walczących żołnierzy; to pole walki, las głęboki, w którym bliźnięta przerywają swe zabawy i płasy, by chwycić miecz, lub napiąć łuk, zawsze zwycięski. Urok płynący z Lawa i Kusza jest tak niezwalczonym, jak ich siła. Chciałoby się je pieścić, zanim gniew rozbudzą. Giną dwaj inni bracia króla, nie uniknął smutnego losu i dobry Lakszman. Po każdym tryumfie bliźniaki cieszą się i składają sobie nawzajem powinszowania i jak prawdziwe dzieci, w podskokach biegną do matki. Ta, nie wiedząc nic, o prawdziwych niebezpieczeństwach, przez które jej dzieci przechodzą, dziwi się zdraśnięciom, jakie spostrzega na ich policzkach i ramionach: — oręż wrogów musnął zaledwie tych synów bogini i boga.

— A! — woła — któż mógł być tak okrutnym! by pirześladować me biedne dzieci? Żywić ch muszę tylko leśnymi owocami, a nigdy nie zakosztowali łakoci

Dzikie kwiaty służą im za bransolety i naszyjniki; nigdy nie mieli innych klejnotów.

Aby utrzymać matkę w uspokajającym

złudzeniu, malcy osypują kolana jej ślicznymi buketami.

Rama widząc padających generałów i żołnierzy, unosi się gniewem i oświadcza, że pójdzie za innymi w ustron wiecznego spokoju... Ale przedtem, należy wytepić tych młodzieńców, w których, jak sądzi, wcielił się bóg śmierci.

Ale smutek króla z Ondy prędko znika, gdy ukazują się Lawa i Kusza. Tak są śliczni z uśmiechem na ustach, na widok śmiesznej postaci dzielnego Hannuman, króla małp, wiernego towarzysza Ramy, i jego żołnierzy—pół ludzi, pół zwierząt.

— Tobiel! — wołają — nie złego nie uczynimy, jesteś zanadto śmieszny! poniesiemy cię do naszej matki, by się zabawiła!

Instykt zwierzęcy lepiej przeczuwaprawdę, niż ludzki.

— Panie, to są synowie twoi!—mówi on — niema wątpliwości: mamy tu trzech Rama!

— Kim wy jesteście?—pyta oczarowany król.

— Urodzonymi twymi wrogami — odpowiadają bliźniaki, wyzywają go i szydzą.

— Jako! — ty, wielki król, tak doświadczony w sztuce wojennej, jak możesz narażać swą sławę rycerską wysyłając całą armię przeciw dzieciakom? Nie mówimy tego dla siebie, ale dla was, bo my dwaj jesteśmy zupełnie spokojni, pobijemy i was i twoich wszystkich żołnierzy.

— Śmielibyście stawić mi czoło w szrankach zamkniętych? — odparł wielki Rama.—Nie przypominacie więc sobie sławnej bitwy Lanka?

— A tak! mówże o tem! Pobijeś wrogów dzięki jedynie wybiegowi, niegodnemu ciebie: ukrywszy się za drzewem, zdołałeś zabić króla małp, brata Hannumana, twego sprzymierzeńca.

— Chociażbym chciał—odpowie Rama—nie mogę schwycić za broń, by was ukarać. Moje serce staje się słodkiem jak mleko, gdy patrzę na twarze wasze.

— Jak śmiesz mówić o swem sercu?—podchwytyją dzieci, obznajmione ze wszystkim dzięki „Ramajanie“.

— A! czytaliśmy o tem, do czego twe serce jest zdolne, okrutniku, coś niesprawiedliwie wygnał Sita!

Przychodzi do walki na ręce. Lawa i Kusza mordują wszystkich przeci-

wników; jednego Hannumana biorą do niewoli. Ojciec z synami rozpoczyna rozpaczliwą walkę. Rama zmuszony jest do odwrotu; cofa się w głąb jungli, a chłopcy tańczą z radości i uprowadzają ze sobą jako zdobycz; dzielnego Hannumana.

Rama cofnął się, by ukazać się jeszcze potężniejszym i straszniejszym. Schwycił Brahmajał, fatalną lancę, używaną przez dawnych indusów, a za bijającą zawsze. Niezwykły pojedynek rozpoczyna się na nowo. Co się stanie? Jakikolwiek będzie koniec, zawsze musi być strasznym. Wówczas ukazuje się postać, nie grająca w aktach poprzednich żadnej roli, twarz nieszczęścia i boleści, spełniająca zbiegiem okoliczności, dzieło dobroci i sprawiedliwości. To Nikasza, wdowa potwora Rawany, przebiegająca świat, pół czarownica, pół waryatka.

Z radością widzi, że wrogowie i zwycięscy jej małżonka, posiekani na kawałki przez tych dwóch dzielnych wyrostków, przyłącza się więc do nich i w czasie chwilowej pauzy, w tej decydującej walce, namaszcza ich czoła czerwonym płynem, uświęconym czarem...

Cudotwórstwo Nikaszy wywiera swój wpływ. Na widok piętna czarodziejskiego, Rama wpada w hypnozę, niebezpieczny oręż wysuwa mu się z rąk, pada i zasypia snem głębokim.

* * *

Tak zagmatwana akcja nie może być rozwiązana ludzkimi sposobami. Czary, cuda, bogowie sami, przyjmą w tem udział. Nieszczęsna Sita, w pobliżu swego domku z gałęzi, śpiewa hymn melancholijny, gwiazdom i drzewom opowiada swe cierpienia.

— Bądź dumna, matko nasza! — wołają bliźnięta, ciągnąc za sobą Hannumana. — Zwyciężyliśmy Ramę!

Na te straszne słowa, Sita mdleje, a odzyskuje czucie na to tylko, by spytać, gdzie jest ciało jej pana, by mogła wstąpić na stos pogrzebowy. Jest ona tą idealną małżonką induską, wierną, aż do śmierci, nie mogącą przeżyć straty małżonka. Wszyscy udają się na pole walki, gdzie żywym jest tylko wierny woźnica Sumantra, opłakujący ruinę dynastji. Sita rzuca się na bezwładne ciało małżonka, gdy Valmiki zbliża się. Starzec pociesza

Sitę, budzącą się z nowego omdlenia, zapewniając ją że Rama jest tylko uspijonym. Potęgą swych zaklęć przywoła on też do życia tych dzielnych wojowników.

Czwarty akt obejmuje jeden tylko obraz. Rama powrócił do swego pałacu w całej pompie królewskiej, otoczony braćmi a na prośbę Valmiki dzieci własne Ramy, Lawa i Kusza śpiewają poemat Ramajany.

Gdy przybywają do miejsca wygnania Sity, król czuje się tak wzruszonym, iż każe zaniechać hymnu. Wówczas wchodzi Sita, w towarzystwie Lakszmana; rzuca się do nóg Ramie, ale ten pozostaje niepoprawnym, dręcząc go jeszcze skrupuły.

— Serce me bije ku tobie Sita! — woła — ale lękam się opinii mego ludu i błagam, byś raz jeszcze przeszła przez próbę ognia.

— Chcę ci dać inny dowód mej czystości — odpowie królowa.

Przycisnąwszy do serca swe dzieci, które poleca miłości Ramy, wzywa matkę Ziemię i błaga, by ją zabrała w łono swoje.

I rzeczywiście, ziemia się otwiera, ukazuje się Bogini w swej własnej

postaci, obejmuje Sitę i obie znikają. Rama waryuje z boleści, malcy wybuchają płaczem, Lakszmana usiłuje żelazem otworzyć ziemię, by odebrać drogą Sitę... ale stała się ona raz na zawsze niedostępna, zbyt piękną i czystą, by oddychać jeszcze atmosferą ludzką. Brahma, bóg bogów, oslepią zgromadzonych ukazaniem się swoim:

— Pamiętaj Ramo o twej boskości — mówi — musisz być wyższym po nad wszystkie ludzkie cierpienia. Sita spoczywa na wieki pod swą pierwotną postacią Lakszmi, bogini Piękności!

I dramat kończy się apoteozą, gdyż niebo rozdziera swą zasłonę i ukazuje Lakszmi, tryumfującą i spokojną, zupełnie podobną do Sity, spoczywającej na swym tronie z lotosu.

* * *

Bramin, komentujący ten dramat popularny, a jednak tak pełny delikatności i liryzmu, dziwi się naszemu zdziwieniu.

— Indus czci jednocześnie poezję, wdzięk, odwagę, cnotę! — zapewnia on nas. — Dla tych ludów zdegenerowa-

nych, co prawda, ale wysubtelnionych tak starą cywilizacją, naturalnem jest wzruszać się na widok heroizmu Sity, lub młodzieńczego zapału jej synów. Ludy te, nie są tak jak nasze, zatrute rozmaitemi wiadomościami z gazet, brutalnemi melodramatami teatralnemi, głupiem lub pieprznemi kupletami z kawiarni. Prawie wszystko, co umięją, nauczyły się z najpiękniejszych poematów świata, które matki, nieuczone lecz o duszy artystycznej—śpiewają dzieciom swoim. Widok zbrodni nie zdeprawował ich, smak cynizmu, okropności, buntu, nie przypadł im do gustu. Rozpuszna jakaś scena np. byłaby nieznośną dla krajowej publiczności, chociażby wydawała się bardzo dowcipną w wodewilach naszych bulwarów.

Teatr Parsi zbudowany na rynku, gdzie ciśnie się publiczność różnobarwna i ruchliwa, również zainteresował mnie, ale nie zachwyił tak, jak to wspaniałe wskreszenie bohaterskich Indyj. Dekoracje pałaców kolejno następują po widokach portów. Kupcy palą kazania królom. Najsprytniejszy zwycięża najsilniejszego. To komedia. Każda rasa lubi odnajdywać na sce-

nie, na którą patrzy, zasadnicze swe rysy...

XI.

Ladacznice.

Przypominam sobie wieczory w Kalucie, gdzie w naszym zajeździe rozprawialiśmy o ogólnych ideach, mających związek z wpływem Zachodu na Indyj.

— Nie daleko szukając — zawołał mój przyjaciel, z którym wylądowałem — anglicy wprowadzili do Indyj rozwiązłość.

— Prawda — odezwał się bramin, nasz gość tego wieczoru. — Ale to nie jest specjalnie winą Anglii; to zbrodnia waszej europejskiej cywilizacji. Nie mieliśmy nigdy ladacznic. Określam tem straszmem słowem, zezwierzęcone sługi brutalnej żądzy przechodniów. Mieliśmy i mamy kastę śpiewaczek i tancerek; poślubiają one drzewa — tak, drzewa — przy wzruszających ceremoniach, sięgających czasów Wedy; kapłani nasi błogosławiają je i dostają dużo pieniędzy. Nie bro-

nią się tym, którzy je kochają i podobają się im. Królowie bogatemi je uczynili. One przedstawiają wszystkie sztuki i są widoczną pięknnością świata.

Postanowiliśmy zwiedzić ciemne bazyliki tego „miasta o strasznych nocach,” by sprawdzić jego rany. Bramin nas porzucił, żądny zapewne oczyścić się u siebie z plam zetknięcia się z nami. Porzuciliśmy Durumtollah, by zanurzyć się w czeluściach piekielnych, w noc ciemną. Tam, co kroku spotykamy domy podejrzone, których sam odór jest trucizną. Od czasu do czasu napotykać policyjanci uśmiechają się do nas opiekuńczo. Nareszcie wydobywamy się na jaśniejszą ulicę. Pięć kobiet wieszają się u drzwi. Przybyłe z Nepalu miały twarz bladą i słodką, o długich brwiach, krótkim nosie i kształtach dziecka; wystające kości policzkowe zdradzały córy Bury. W tem zbiegowisku różnolitem, widziałeś chinki, kobiety z Bombaju, Madras, Cejlonu. Japonki, o szatach jaskrawych, włosach zdobnych długimi szpilkami, robią jakieś robótki lub kładą pasyanse z kart. W dwóch rzędach siedzą przed drzwiami, krótkie

ich nóżki spoczywają na przewróconych koszykach.

Rozwiążność urodzonych bengalek jest wstrętniejszą—ponurą; dziewczynki dwunasto, szesnastoletnie z perłami lub srebrnym koleczykiem w nosie; ich nędza, zwierzęcość twarzy, przykrość nam sprawia.

Mała bengali — tak dobrze nosząca swe imię, które daliśmy ptakom—prawie nie wydaje się sprzedajną; z rezygnacją przyjmuje swój los, jak my przyjmujemy zjawiska oddychania, lub trawienia. Mieszkania ich wywołują obrzydzenie. Z tych domków z gliny, gałganów i gałęzi zieje woń amoniakalna, zlewająca się z mdłym, drzącym odorem cholery i febry, wytworem tego specjalnego błota Azyi; ale najwstrętniejsze, najniżej upadłe są europejki. Odwracamy się, obrażeni po raz pierwszy może w naszej godności i dumie ludzi białych...

Przewodnikami tutaj są mali chłopcy, prowadzący najczęściej do własnych rodzin; wdrapujemy się to na drabiny drewniane, to na kręte i rozwalające się schody, aby przedostać się do takiej samej izby słabo oświe-

tlonej, z matą, o jednym tylko połamany stołku, po drodze popycha nas nieraz pijany marynarz lub żołnierz...

Przyjaciel mój „obieżyświat“ oświadcza, że pokosztuje „rozkoszy krajowej“ i uściśnie jedną z tych, które Kipling nazywa „delikatną nieprawością“ lub „tłustym nałogiem.“ Idziemy za nim do Chipoz-Road. Noc — śpią wszyscy. Ale on nie waha się, gwałtem otwiera drzwi, wchodzi do rodzaju willi ustronnej — paryi innych domów. Tam, megiera o siwych kosmykach przyprowadza biedne dzieci, uśmiechające się do nas, a w ich pięknych oczach maluje się bezmyślność.

Jakaś mała, zwraca uwagę mego towarzysza. Nie umie ani słowa po angielsku i widocznie jeszcze niewiele służyła.

Widzi się w tem dziecku, zaledwie dwunastoletniem, wdzięki kobiety dojrzałej; piersi nienormalne dla tak małej figurki a wątle jeszcze biodra, włosy bujne, długie, czarne, oczy duże, błyszczące, więdnące po pierwszych zaraz słowach.

Towarzysz mój obserwuje młodą bengalkę, ja zaś rozmawiam z gospo-

dynią, opowiadającą mi, z jaką łatwością rekrutuje te nieświadome męczenniczki. Każda biedna rodzina gotową jest za kilka rupji dostarczyć jej dzieci. Demoralizacya indyjska niema granic; muzulmanki niełatwo dają się kupić. Wogóle, nie potrzebuje się troszczyć o nic; na jej zawołanie za małą cenę, stawia się wszystkie dziewczynki dzielnicy. Czuje, że nie kłamie, że nawet nie przesadza, że straszna nędza, ciemnota, nieświadomość wszelkiej godności, w jaką braminizm, by lepiej nad nią panować, wepchnął tę ludność — tak idealną jednak z natury swej i tradycyi *) — wytworzyła te gniazda zepsucia, endemicznego tu, jak febra i dżuma.

Z wybuchem śmiechu towarzysz wprowadził mnie z tej willi trędowatej.

— A! mój stary, dosyć już mam tego. Chociaż przyznać muszę, że ta mała, naprawdę jest interesującą. Niema w niej ani fałszywej skromności, ani

*) Teatr jest tego dowodem. (Patrz rozdział poprzedzający.)

rozpusty. Milczała, nie przestając się uśmiechać. Gdy miałem już odejść, skończyła wesoło i wyciągnęła rękę, jak mała dziewczynka, oczekująca na choinkę, krzyknęła głosem ostrym, dziecięcym: „Bakeczysz!“ To wszystko na co się zdobyła! to jedyne słowo wypowiedziane przez tę laleczkę rozkoszną; nie zna zapewne innego i takim jest wyraz jedynej, jej myśli...

Rozpustna ciekawość obieżyświata, jest nienasyconą. Chce by się jeszcze zatrzymał nasz wózek. Doznaję mdłości, ale nie opieram się, lubiąc karmić się widokiem tego upadku, będącego, jak pisał jeden energiczny anglik — „wstydem rasy białej“. Tym razem, widzimy jaskinię. Słowo to niedostatecznie określa. Kobiety śpią w rodzaju żłobów gipsowych, nad ziemią wzniesionych. To przypomina groby w ruinie, jakie widziałem w Judei i Syrii. Pokoje wązkie, jak pudełka, pozbawione są zupełnie okien; wszystkie wyjścia wychodzą na korytarz przewietrzany tylko przez drzwi prowadzące na ulicę. Woń zjeżdżalej oliwy i chorych kobiet, uderza w nozdrza. Jedna z nich, podnosi się ze swego

legowiska, brzydka z włosami przylepłymi, ze strupami czarnymi na twarzy, z oczami pełnymi nienawiści, jakie mają ranne zwierzęta, gdy je niepokoją — i ściska na nasz widok, wyszczerbioną klingę noża. Lampka żelazna płonie, wydając ostry dym; towarzysz ściska mi ramię:

— Patrz! — mówi.

Patrzę w około i widzę na murach, po nad łózkami, niezręczne malowidła, indo-japońskie, w których naiwny artysta przedstawił nieopisane męki. Rodzaj bogini Kali, dyryguje krwawemi, strasznemi okropnościami, dokonywanemi na białym europejczyku, wyróżniającym się angielskim kostiumem i faworytami, które pozostały w Indyach tradycyjną oznaką zdobywcy.

Bogini, w którą malarz wcielił maści cielkę, wyróżnia się zębami gryzającymi i rękami szarpiącymi.

Głowa europejczyka zwisa, podcięta z zamarym na twarzy spazmem; brzuch, to jedna rozwarta rama, z której znikły zjedzone wnętrzności; ramion nie ma; pękają wygięte w przeciwną stronę kolana; pał wśrubowuje się w ciało, przenika jak sztylet ostry a wściekły. To ślad wojny spahisów, prze-

niesiony na grunt krajowej seksualności, odwet ciągłej niechęci, względem tego „melech“ *) płaczącego i kalającego.

Dotknęliśmy się tu zwyrodnienia zbliżającego się do zbrodni — tego, co morduje — co karze.

XII.

Asceta odkupiciel.

W tej dzielnicy smutnej i zamkniętej, jeden sklepik pozostaje otwartym; czuć go alkoholem i opium, a przyćmione jego światło wydłuża się na błotnistej ulicy. Tańczą. Zbliżam się, by widzieć. Ospałe indywidua, o zagadkowym uśmiechu, chwieją się powoli przy muzyce bez energii. Miękkie szaty, pełne twarze, liczne klejnoty, każą przypuszczać, że to są kobiecy. Mały indus, nasz cicerone, szepece mi do ucha stłumionym głosem: „Boys“...

*) Ta obelga — „melech“ — nieczysty, zwrócona jest zwykle na chrześcijanina, przez azyatyckiego buddystę lub indusa.

Tak, to są chłopcy, zajęci „notczą“ (tańcem) jak jakieś męskie bajaderki, wyciągają się i przeginają.

Policyant krajowiec, w kostymie kaki, patrzy na to obojętnie.

Wracaliśmy do Durumtollah, melancholijni i zniechęceni, gdy jakiś świeży głos spiewać zaczął pieśń nabożną. Przy blasku latarni ujrzeliśmy dziecię piękne i nagie, z ciałem popiołem osypanem, głową uwieńczoną jaśminami. Jak Massjas grało ono na flecie. Z jego czystych ust wypływały ustępy z Wady, sławiące piękność zaparcia się wszystkiego i bogactwo tego, co nie posiada: „Dusza to pływak; namietności — to krokodyl; Ganges — to życie; brzeg przeciwny — Nirwana“. „Idź jak można najprędzej, unikając zasadzek zgubnych i spocznij na kwieciem wybrzeżu nieśmiertelności“!

Pomyślałem sobie, że Indje prawdziwe, oddalone są od tych cuchnących dzielnic, pozostałości europejskich. Żyły one w tym młodzieńcu. Zakwitną kiedyś w jakimś bohaterskim ascecie, który przypominając swoim, nareszcie odrodzonym i zjednoczonym, dawną sławę i pochodzenie aryjskie powiedzie

ich może do nowych, wzniosłych przeznaczeń.

ROZDZIAŁ II.

Benares.

„Miasto boleści“. — Szał bazarów. Zwierzęta i bogowie. — Tłok świątyń. — Nieczystość święta. — „Pieturesman“. — Maharadża z Benares. — Policya indusów. — Ramnagaz. — Święto wiosny.

I.

„Miasto boleści“.

Tłoczą się, pchają na dworcu w Hawrah, gdy wsiałam do pociągu idącego do Benares. Wieczór, już po dziewiątej, tłum krajowców zaniepokojonych, z kijami, tłomokami, kołdrami, pcha się to tu, to tam, huczący, zgubiony w tej ciemnej przestrzeni, on, co przywykł żyć w słońcu. Kobiety w lektykach, dzwiganych przez nagich pariasów, piszczą i gniewnie drapią firankę, której za nic w świecie-by nie rozsunęły. Rozchodzi się woń trudna

do określenia, woń bazarów: cytryna, róża zgniła, opium, pot czarnych. Kilka szturchańców, inteligentnie wymierzonych przez urzędników w to stado warjatów, oczyszcza platformę. Z prawdziwym żalem porzucam przyjaciela którego mi dała Kalkuta — Fuchsa, konsula francuskiego. Często razem, po skończonej pracy — gdyż Fuchs jest niezmordowanym pracownikiem, tworzyliśmy w Kalkucie „grodzie strasznych nocy“ malutki zakątek Francyi. Już skończyło się. Ja i mój przyjaciel „obieżyświat“ jesteśmy wydani tej olbrzymiej Indyi. Wagon nasz jest doskonały. Mamy dwie duże ławki, na których nasi „boye“ zasłali łóżka jak w hotelu. Wygodny pokój do ubierania, prysznic gotowy. Za ledwie pociąg puścił się w ruch, kładziemy się spać. Na większych stacjach błyszczące oko „boya“ zagląda badając, czy przypadkiem zbudzeni panowie nie potrzebują limoniady, lodów, wody sodowej lub herbaty. O dziewiątej rano, zbudził mnie mój towarzysz, gwizdząc piosnkę żołnierską. Zdawało by się że pomimo małego wzrostu, idzie zdobywać Indje. W każdym razie, myślał o innych zdobyczach, gdyż żelazkiem

zakrecał wąski trochę Don Juana, trochę Matamora. Zmieniliśmy pociąg w Mogul Serai. Przez kwadrans jechaliśmy wagonami „Andh-and — Rahilkaur Railway”.

Kilka minut później, zbliżając się do Kaszi, dworca (dzielnicy) miasta krajowców, ujrzelśmy ciągnące się wzdłuż Gangesu w blaskach poranku Miasto Święte.

Jak wszystkie miasta Azji, przed południem, zanim brutalne słońce obnażyć je zdoła, Benares spowite było w lekką szatę utkaną z mgły. W tej chwili, przedstawiło mi się ono takiem, jak się widzi w marzeniach i ksiązkach, miastem oślepiającym, wzniosłem „Świątynia Złota“ zaledwie jednym tonem jaśniejszym błyszczy w tem ogólnem roziskrzeniu.

Gdy lokomotywa unosi nas na ten most śmiały, rzucony przez Ganges, przez okna otwarte wpływa nagle upajający czar natury, w porze wiosennej, tych licznych ogrodów, wielkiej rzeki, nareszcie urok samego miasta, niezliczonych gmachów, gdzie żyją razem ludzie i bogowie.

Mamy spory kawał drogi powozem do hotelu, ślicznego w swem otocze-

niu z liści, czystego, bielutkiego, ze swymi „boyami,“ siedzącymi pod kolumnadą...

Pokoje nasze świeżo oczyszczone, z wybitymi matami, bez mebli, z dywanem tak cienkim, jak prześcieradło; łóżka z muślinowymi zasłonami, są już przygotowane, a wydają się tak białe, jak śnieżna powłoka gór Himalajskich.

Drzwi tworzą zasłony zsuwane na kijach. Skończywszy „tiffiu“ siadamy na statek. Jest on starym, jak Benares, wydaje się trudnym do poruszenia, na swe rozmiary zbyt wysoko wzniesionym; ale za to patrzy się z niego jak z trybuny na widok taki, jakiego nie każde oko ludzkie ogląda na tej ziemi. Siedzimy na wązkich fotelach, wokoło starego, grubego, zmęczonego stołu, na którym składamy nasze laski, słomiane wachlarze, służące do odpędzania zwartych gromad mustyków. Gorąco, gdyż pora popołudniowa. Przewoźnicy wiosłują powoli; woda zielona, a tworzące się i pękające bąble, świadczą o nieustannym gniciu. Na dnie spoczywa brud przedhistoryczny. Wstrętna zawsze woń, chwilami staje się tak niemoż-

liwą, że walczyć z nią musimy, jak z wrogiem. Palimy energicznie, gdy mamy tego dość, zlewamy się wodą kolońską. Od czasu do czasu właściciel statku wymawia nazwy, które dla jego wierzeń indusa, są kluczami do ukrytych wspaniałości — tak jak te słowa w bajce, dające wstęp do rozmaitych skarbów.

W oddali widzimy pałac maharadży, później wznoszący się nad innymi gmachami — wielki Meczet Anreng-Zeb, którego dwa olbrzymie minarety dowodzą zwycięstwa muzułmanów; świątynia Nepal, świątynia Złota, świątynia Durga z fryzem żywych małp... trudno zliczyć sanktuariya Sziwy, właściciwego boga Benares. Można je rozpoznać łatwo, gdyż na każdym rysuje się pełen znaczenia trójzab. Z tego trójzęba my, chrześcianie, zrobiliśmy później widły dyabelskie... Między Sziwą a naszym dyablem są istotnie pewne podobieństwa. Obaj zamieszkują ogień, ulubiony żywioł Sziwy, więzienie szatańskie. Obaj niszczą ciała i dusze, opiekują się zbrodniarzami, waryatami, żebrakami, sabatem czarowników i histeryczek. Obaj mają ponure twarze i tryumfujący

wyraz postaci. Symbol Sziwy jest jego zupełnem uosobieniem. W całych Indyach nazwany jest Sziwa-Lingham i wznosi się jako kamień czarny we wszystkich świątyniach, na wszystkich rogach ulic, wzdłuż schodów, Ghats, na półkach sklepików, gdzie sprzedają ją dzieci. To bożyszcze ascetów, kobiet i królów.

Widok Benares jest nadzwyczajny, owiany jakąś nie dającą się opisać skargą i rozpaczą. Nicość wszystkiego, koniec rzeczy posuniętych aż do majestatycznej i brudnej w swem skąpstwie brzydoty, zgrzybiałość idąca aż do ruiny, opowiada oczom patrzącym o zgubnym tryumfie Sziwy, boga zniszczenia, który zniszczy nawet lud swój, świątynię swoją i siebie samego. Pochyliły się schody Ghats; nikt nie wie, czy to wskutek lat, najazdów lub wstrząśnień obudzonej ziemi. Pagoda jakaś spoczywa na dnie Gangesu; sam jej szczyt otoczony dzwoneczkami, wynurza się jeszcze. Trochę dalej dach wypływa na powierzchnię rzeki, co go pochłonęła, i służy za punkt oparcia dla fanatyków, składających cześć słońcu. Wznoszą się olbrzymie kolumny o kilka me-

trów od ziemi obcięte; kawały murów kończą się raptownie, jakby poszarpane ręką tytana. Śliczne tarasy, majestatyczne kolumnady otrzymują cień od ogromnych drzew, wyrosłych tu, zdaje się, przed wiekami, a których nagie korzenie wytryskują z ziemi, jak pokurzone nogi starca.

Wszędzie ruiny, szczyrby, dziury rozwarte, wstrętna bielizna rozwieszona na balkonach nieużywanych, wspaniałych. Na kamieniach, co uniknęły zupełnej ruiny, ukazują się skomplikowane ozdoby: kształty nieokreślone, monstrialne. Muskając brzegi Gangesu, odnajdujemy prawie wszędzie, w głębokich niszach, wyłobionych jakby przez ludzi-pszczoły, bałwany w sprośnych wygięciach, najczęściej poplamionych barwą czerwoną, mających przed sobą kupę składanych ofiar: żółte kwiaty, ryż, owoce, wszystko to lepkie, często gnijące. W załomie rzeki, zwanym Harrisz Szambra-Ghât; wytworzył się, jak się wydaje, podwójny handel: trupami, które tu są palone, i drzewem, służącym do palenia. Drzewo to złożono w stosy, nie tylko tu lecz po trochu wszędzie, bo do tego całopalenia potrzebną jest

zawsze czynność rzeki. Jeden z tych szczęśliwych zmarłych, pragnący być spalonym w pobliżu sanktuarium Sziwy, naprzeciw Gangesu, uderza o nasz statek.

Owinięty w białą bieliznę, podobnym jest do mumii, na wieki unieruchomionej. Tylko gdy za chwilę powrócimy, mumia będzie tylko popiołem, gdyż indus niema, tak starożytny egipcyanin, przesądów co do ciała; raczej pogardza niem. Ten lud dziwnie idealny nie przywiązuje się do tego, co mu się wydaje być przejściową szatą, nieśmiertelnej duszy, i wierzy, że daleko lepiej jaknajprędzej połączyć się z nieskończonością.. To też widok tych stosów jest nader wzruszającym, gdy się zna wierzania tych zestarzałych dzieci. Wysokie pojęcia filozoficzne, malownicze barbarzyństwo, gęsty dym, czerwone płomień, rzucające w powietrze deszcz złoty, pienia kapłanów, zmuszonych towarzyszyć duszy w tej podróży poza światy, olbrzymi tłum w kuckach siedzący: kobiety, mężczyźni, dzieci, patrzący ze spokojem, z litością w swych wspaniałych łachmanach, w pozach posagowych, bez próżnych grymasów,

jak w ogniu niknie krewny ich lub przyjaciel; w całym tym nowożytnym realizmie, widzę w czyn wprowadzoną starą filozofię pogańską, streszczającą się w panteizmie idealistycznym. To wzgarda znikomej osobowości, złożonej w ofierze nieśmiertelnej naturze, która wydaje na kilka chwil istoty ze swego łona, aby je potem pochłoniąć i stworzyć ze śmiercią nowe życie. Przebywamy nie tylko najstarszą z rzek, ale także epoki poprzedzające naszą o tysiące tysięcy lat. Przenikamy dusze tak różne od naszych, że zdają się one należeć do innej ludzkości.

Zmęczyły mnie ostatnie spaceru w Kalkucie. Nie mogę robić notatek. Umysł mój i ręka odmówiłby mi usług. Przeszedłem przez febrę, zaznałem obezwładnienia klimatu; ale tym sposobem zniżam się do poziomu tych dusz, bratam się z tą Indją, przechodzącą z szału do przygnębienia. Czuję, że jestem obecny przy czemś niezwykłym, nadzwyczajnym. Choćbym żył wieki całe, wrażenie tego popołudnia pozostanie jedynem. W tem pierwszym popołudniu, spędzonym w Benares, dotknąłem wspianego

i zgniłego serca starych Indyj. Czuję, słyszę, dyszę śmiercią, śmiercią bogów, końcem ludu, potężniejszym, niż śmierć ludzi. Wieczne Ghâts, wieczne ruiny, woń i mustyki. Wszystkie te chwiejące się świątynie, ten stary Ganges, pierwszy ze wszystkich bogów, przedzierzgnięty tu w kałużę zgniłą, w ściek adoracy; to słońce konające na tych pałacach, może piękniejszych na świecie całym, ale pustych, opuszczonych; schronienie małp, węzów, linoskoków i fakirów, spowija się ogromnym spokojem, nie dającym wypoczynku, podnoszącym się z tego rojącego się i złamanego grobowca tego „Miasta Bolesci.“

Przyjaciel mój twierdzi, że Ganges jest „bardzo szykownym“ a Benares „czemś niezwykłym.“ Zapisuje nazwy Ghâts, aby, jak mówi, kupić fotografie, gdyż jest zapóźno, by je zdjąć. Al ten nie traci czasu, nie zużywa nerwów na osobiste wrażenia. To „obieżyświat.“ Wrażenia innych wystarczają mu.

Powoli wieczór nadchodzi. Benares stroi się w czarodziejskie szaty; szczyty świątyni złota są jakby duszą, zmierzchu, wznoszącą się nad miastem, be-

dącem także zmierzchem kamiennym; minarety wielkiego meczetu, dumne jak świadectwo zwycięstwa, chwieją się we mgle, jak błagające ramiona upiora. Noc Azyi, noc nągła, pochwyty nas. Ponury Ghat kapłanów-palaczy wydaje się teraz błyszczącą plamą tylko. To latarnia tego nocnego ścieku.

Drżymy w tej mgle tyfusowej i zadżumionej, będącej jakby złośliwą duszą rzeki. Jak widzę, mieli rację ci ospali przewoźnicy, chcąc byśmy wcześniej wrócili. Te bogi śmierci próbują na nas, chrześcijanach, swej tajemniczej zemsty. Kobietom zimno, otulają się szalami. Przewodnik nasz siadł w kucki obok nas i modli się do Sziwy: „O ty! straszny!”—śpiewa on. Tak straszny istotnie, bóg Benaresu, ojciec febry, cholery, dżumy, ascetyzmu i tego przesadnego, próżnego szału, z którego giną starsi nasi bracia aryowie, co przeszli Indostan!

II.

Szał bazarów.

Nazajutrz, nie zwracając uwagi na żar wciąż wznoszącego się słońca,

idziemy do bazarów. W całej Azyi sławne są bazary Benaresu, Musimy porzucić nasze powozy. tak uliczki są wąskie. Z początku przypatrujemy się tylko wystawom. Prześladuje nas chmara przewodników, tak dokuczliwa jak wieczorem w hotelu mustyki. Wchodzimy do jubilerów, którzy nas traktują jak nababów i żądają dwa razy więcej zapłaty, niż w Europie. Rzucają się na nas przekupnie o twarzach małpich, gestykuluja, uśmiechają się, pokazując z gestami artystów i kuglarzy miedziane garnki, kute w Benares, statuetki bogów i bogiń, wołów, koni, lingham. Później wpadamy do bazaru z jedwabiami, gdzie siedzą na matach dzieci, w różnobarwnych czapeczkach, z oczami podmalowanymi kołą. Nie zwracają na nic uwagi. Za pomocą szpilek inkrustrują jedwab złotemi gwiazdami. Wielkim palcem u nogi przytrzymują tkaninę.

Po śniadaniu dopiero zabieramy się do kupowania; wówczas opanowuje nas gorączka, unosimy z sobą stare bezużyteczne żelastwa, koszyki metalowe, bożki, zabawki dziecinne, pudełka zawierające w sobie dziesięć in-

nych, coraz mniejszych, lichtarze z ko-
bra, bransolety ciężkie lub lekkie dla
ozdoby nóg bajaderek. Grube pienią-
dze topnieją nam w palcach, pomimo,
że dajemy czwartą część żądanej sumy.

Przyjaciele moi w tej samej są go-
rączce, biegniemy do zmieniaczy pie-
niędzy, każących drogo płacić za uczy-
nioną przysługę. Tłum, nieustannie
zwiększający się, nie odstepuje od
nas, od chwili ukazania się pierwszych
rupij; domaga się nieuniknionego bak-
czyszu, to z uśmiechem kurtyzanki,
to w pełnej hypokryzji pozie żebra-
ka, to wydając drżące okrzyki. Mija-
ją nas fakirzy, nie racząc zwrócić na
nas uwagi w swych turbanach ze
sznurów, z relikwiami, cali nadzy, po-
piołem oblepieni. Wielbłądy zmusza-
ją nas wdrapywać się na wystawy
magazynów, woły popychają nas. Po-
chód różnobarwnych muzykantów tań-
cząc, przechodzi koło nas. Idą oni do
świątyni Wisznu, boga bogatych, za-
mieszkującego naturalnie między kup-
cami, grają na dziwacznych instru-
mentach coś dzikiego a cudnego.

Fanatycy w tym pochodzie mają na
czołach grubą warstwę czerwonej far-
by, jak gdyby jakaś krwawa ręka spo-

częła na tych czołach: ich oczy luna-
tyków, bardziej nieprzytomnymi się
stają pod wpływem muzyki i blasku
tkanin, w które się owijają. Nic po-
dobnego nie widziałem ani w Damaszk-
ku, ani w Kairze. Szał mahometań-
ski niema tego potężnego środka pod-
budzającego, jakim jest bożek bał-
wan, z krwawymi ofiarami, śpiewami,
ceremoniami, procesyami, kwiatami
w rozkwicie, całą tą naturą azyatyc-
ką, dyszącą okrucieństwem i miłością.
Na te nędzne budy, w których błysz-
czy chciwe oko oszusta, wieje wiatr
nadziemskiej ekstazy, płynący z tego
pochodu barwnego i głośnego; i to
między temi złodziejami—„jeżeli jesteś
złodziejem, idź do Benaresy,“ mówi
przysłowie indyjskie—objawia się ta
gorączkowa pogoń za czemś bajecz-
nem, zawrotnem, pociągającym tę hor-
dę idealistów, — kłamców i oszustów
zapewne—ale chorych z miłości cze-
goś pozaświatowego, żądnych poszu-
kiwania istotnej racji bytu wszech-
rzeczy.

III.

Zwierzęta i bogowie.

Wrzaski, brud, skoki. Palmowe drzewa i „pipel tree“ olbrzymie drzewa, o delikatnem i cienistym uliścieniu — rosnące tylko w Indyach — tworzą gąszcz w tem „świętem mieście,“ w zakątku jungli, przerżniętej świątynią Durga. Tam panują małpy, czczone jak bogi. Piszczą, śmieją się, tańczą, iszczą, i gryzą ziarnka, lub słodycze, podawane im przez zwiedzających. Rozmaitej płci, wielkości i barwy. Jedne szare, drugie białe, lub niebieskie, z brzuchami i udami pomarańczowemi, koloru zachodów słońca nad Benares. Samice tulą swe niemowlęta, dzikie a kochające, jakby matki obdarzone uczniem ludzkim.

Wchodzimy do czworoboku, otoczonego kolumnadą, gdzie drzemia żebacy, a małpy uganiają się zawzięcie.

Świątynie indyjskie mają najczęściej niebo jako sklepienie i zamieszkiwane są przez zwierzęta. W samym środku sanktuarium, znajduje się miejsce najbrudniejsze, a zarazem naj-

świętsze. Wznosi się ono jak piramida, coraz więcej zaostzona, po której wija się zwierzęta olbrzymie kamienne, bogowie sami i symbole metamorfozy. Przez otwarte brązowe wrota, w wilgotnym cieniu, ukazuje się bożyszcze, kamień czerwony i czarny na lwie — straszna i piękna Durga. Mrukliwy kapłan, nie pozwala mi się zbliżyć. Indus tylko ma prawo wejść do tej jaskini. Na środku podwórza jak w Kalkucie, w świątyni Kali, znajduje się pieńek do ofiar i krwawy jeszcze nóż. Ale nie trafiliśmy na właściwą godzinę. Tem lepiej. Wolę ten spokój kolumnady w żyjącym lesie. Nie czuję natury krwawej, ale dobrą, pobłażliwą, obojętną, pozwalającą zwierzętom, drzewom i ludziom żyć w zgodzie...

Durga jest jak Kali małżonką bogi Sziwy. Durga „niedostępna“. Kali jest czasem pochłaniającym wszystko, Durga — to przestrzeń obejmująca wszystko. Ona jest łonem, z którego powstał świat — grobem — do którego on wróci „Łono i grób, mają kształt kolebki“ mówi towarzyszący mi bramin. Mówi trochę po francuzku, czego się sam z książek wyuczył,

prześladowany jakby widzeniem kraju, gdzie „ludzie są równi i wolni“. Odziany w lekkie tkaniny, ma twarz mizerną i przezroczystą. Pogardza kapłanami, otaczającymi nas, brudnymi, żądnymi rupij, osypującymi nas płaskimi pochlebstwami; prócz tego, podejrzewam, że lęka się tych małp, którym rzucam orzechy i cukierki.

— „Bogowie zamieszkują serca nasze“ — szepcze on, kryjąc się za mnie. Litość we mnie wzbudza, taki jest mizerny, roztargniony, niepewny osłabiony jak wegeteryanie i mistycy. Jest on jak bańka mydlana, w której stare słońce Wady rozpala chwilami wspaniałe myśli, ale którą jeden podmuch, zniszczyć może nie zostawiając nic.

Boso chodzimy po świątyni. W całej Azji obnażają nogi w dowód szacunku, staram się jak najmniej zabrudzić się na tych kamieniach lepkich, gdzie walają się kwiaty, rozmaite wydzieliny, zmieszane z wodą różaną.

Małpy wyciągają do mnie ręce, mrużąc oczy kaprawe i ruchliwe. Schodzę ze stopni. Popycham drzwi, znajduję się przed świętą studnią. Woda błękitna, zdradziecka; odbija w tej

chwili głośne powoziki bajaderek, jadących tańczyć do maharadży. Muzykanci czarują swą muzyką, a oczy moje, upojone są widokiem tkanin i drugich kamieni. Za mną kapłani Durga szepczą; znam dość ich język na tyle, by zrozumieć, że chodzi im o wypróżnienie mych kieszeni, jakimś nadzwyczajnym sposobem. Mój branim drży pod swą szatą utkaną z księżycowych promieni, pomimo brutalnej spiekoty. Z dzwonnice, tarasów, kapiteli, horda małpich czworonogów to spada, to znów się wdrapuje, w nieustannym będąc ruchu.

Nareszcie jakiś młody i chudy kapłan zbliża się do mnie. Pyta mi się, czy chcę mieć jedno z tych małpiątek, które samice tulą w swych ramionach. Nieostroźnie odpowiadam: tak. Zawsze marzyłem o przywiezieniu z Indyj małpy, wiewiórki i pawia. Prędko pożałowałem tego. Zaledwie indus pochwycił krzywiące się niemowlę, samica w okrutny sposób gryzie go w nagie udo. Płynie krew różowa po czarniawej skórze.

Wyrostek nie ukarał rozgniewanego zwierzęcia, nie krzyknął nawet... Zwraca się ku mnie kulejąc, puścił kosma-

te dziecię, i czyni ruch oznaczający niemoc... Inni kapłani, rzucają na siebie z pod oka spojrzenia. Badam oko rannego; bólu prawie niema, maluje się tylko wielka nadzieja rupij... Rzucam mu je rzeczywiście, ze smutkiem i niesmakiem...

Ci chciwcy wzięli mnie za anglika; myśleli, że na widok tej strasznej rany, mój worek pieniężny pęknie na skutek wstrząśnienia nerwów...

Zanurzam się w Benares... To Jerozolima bogów Azji, dumna ze swych dwóch tysięcy świątyń! Zdaje mi się, że jakiś ohydny magnetyzm ciągnie mnie na dno tej kloaki... Mój bramin jest coraz więcej zniechęconym i przestraszonym... Ale wierzy w mą twarz białą i w potęgę moich pieniędzy. Każę woźnicy jechać wolno; wszystko jest zjawiskiem, podziw wzbudzającym. Pod werandami golarze gołą poddające się głowy, z gestami prestidigatorów; ładne dzieci igrają z kozami przy czarnych kozłach; nadzy pariasi tłuką kamienie na nową szosę. Kobiety łagodne i wdzięczne, wzajemnie się iskają..... Patrzymy to na domki z suchego błota, to nabiednych „coolies“ otaczają-

cych rynki; to na chłodne domostwa babu i braminów, których fasady ozdobione jaskrawymi freskami, przedstawiają gniewne słonie, kwiaty, spahisów, bogów.

IV.

Natłok świątyń.

Unikam bazarów, daję się pociągnąć jakiejś karczemnej muzyce, w stronę nowożytniej budowli, nad którą wznosi się trójząb. Orkiestra umieszczona jest na tarasie przed miejscem ofiar-nem, gdzie spoczywa wśród kobiet wyrzeźbionych, opartych o mury, bóg straszny o pięciu głowach, z których jedna twarz zawsze jest niewidzialną. Na szczycie schodów, w pawilonie znajduje się byk kamienny, zebu, zwierzę wytrwałej pracy, tak użyteczne w Indiach, gdzie zastępuje konia. Byk ten kłęczący, a na podgarlu jego wiszą girlandy z jaśminu.

Czci on ów symbol Sziwy, ów kamień czarny, wznoszący się przed nim na ołtarzu. Zdawało by się, że

to płomień czarny, którego wieczna sztywność sławi kult siły. W niszach, boginie o piersiach obnażonych, podobnych do owoców na żywych koszach, wyginają się w pozach miłosnej lubieżności. Orkiestra ogłusza mnie swoją kakofonią; kapłani wkładają mi obuwie z całym szacunkiem, należnym rasie zwycięzców. Ku wielkiemu memu zdziwieniu, gdy wsiadłem do powozu, muzykanci zeszli z tarasu i idą za mną. Porzucili boga Sziwę, aby oddać cześć „meleкови“ nieczystemu. Uśmiechają się do mnie oczami ciemnymi łagodnymi, dmuchając w trąby i poruszając cymbałami; a ten uśmiech błagający, wyraża spryt i nieskończony sceptycyzm. „Co tam ten Sziwa, byk i lingham! — zdaje się on mówić. My jesteśmy biednymi ludźmi, co chcą żyć. Daj cokolwiek, a bóg, który stworzył ten pałac ułudy, to jest świat, ten bóg (twój czy nasz, to wszystko jedno) pobłogosławi cię za tę hojność!“ Pozbyłem się nareszcie bramina, który sprawiał mi tylko kłopot.

Teraz idę pieszo uliczkami ciemnymi i brudnymi. Ślizgam się na mokrej ziemi, jakby galaretowatej. Niedrowa wilgoć przenika kości, budzi

reumatyzmy uspione promieniami słońca. Jestem w dzielnicy Świątyni Złota. Zalewają mnie pielgrzymi, gniotę ich nagie stopy, łokcie moje wpycham pod ich chude żebra; nic nie czują, nie skarżą się, rozwarte ich oczy są studnią ekstazy.

Zaimprovizowany przewodnik ciągnie mnie za rękę pod galerye i z troskliwością siostry chroni mnie od potknięcia się na stopniach zużytych piętami entuzjastów, chodzących nimi od przeszło dwóch tysięcy lat. Obchodzę świątynię Nepal, zdającą się być chińskim kioskiem, którego dach drewniany jest przeładowany erotycznymi rzeźbami, ocieniony zaś olbrzymiem figowem drzewem. Poprzez gałęzie ukazuje się szary Ganges; prawa jego strona, nago piaszczysta, rozciąga się nakształt pustyni. Przechoǳę do obserwatorium, wzniesionego przez radzę Iye Sing; w podwórku, między olbrzymiami instrumentami astronomicznymi, tłoczą się pielgrzymi, rozmaicie odziani, rozmaicie mówiący, jedzący na ziemi oddzielnie, z tem skupieniem, spokojem, charakteryzującym tłumy indusów. Zbliżam się do nich, by widzieć co jedzą: ryż,

owoce na szerokich liściach. Wówczas powstaje ruch straszny, ogólna ucieczka z oznakami przestachu, jak-gdyby oddział kawalerii następował na nich... Zatrzymuję się zdziwiony; przewodnik mój tłómaczy mi, że lękali się, bym nie tknął ich pożywienia—co jest najwyższem skalaniem, wielkim grzechem...

Nareszcie znów jestem w świątyni Złota, której kopuły, złożone istotnie, błyszcą. Pod otwartymi drzwiami stare kobiety sprzedają wody pachnące, łakocie, girlandy; to będą ofiary, składane przez adeptów. Próg jest zawalony papuciami i odpadkami gnijącymi, nigdy nie zamiatanemi; wchodząc, kobiety całują go z nabożestwem, a nogi ich nagie, chude, muskularne, ukazują się w tym ruchu.

Pomiędzy czerwonymi pilastrami kapłani, w purpurę odziani, zapalają ognie i zbierają „pessy“ z pod miedzaków, złożonych przez wiernych przed bożkami. Pochylają się wielkie białe turbany. Wciąż chodzą mężczyźni i kobiety, niosąc półmiski ryżu, słodycze „sweets“, małe świeceki na żelaznych podstawach; nieustannie kiwają się, przesu-

wając paciorki różańca. Rrew plami płyty kamienne, nagie stopy gniołą kwiaty rozdeptane, gnój krwi, trawy, masło i tłuszcz roztopiony. Muchy krążą chmurą całą. Pomiędzy kapłanami i czcicielami—usuwającymi się w mistycznym przestachu, przechadza się, tocząc gniewnym okiem ze wspinałemi prostemi rogami, wznoszącymi się jak miecze „bull of Sziwa“ byk, w którego się wcielił bóg, zebu, zwierzę z garbem na grzbiecie, pomalowane na czarno, dla usymbolizowania, że bóg najwyższy jest ponury.

V.

Nieczystość „święta.”

Stąd do „studni wiedzy“ jest tylko kilka kroków. To miejsce smrodliwe jest „najświętszem“ ze wszystkich. Sziwa zamieszkuje w tej wodzie zatrutej, skąd całe Indye czerpią po kilka kropel, przenoszą ostrożnie do domostw uświęconych przez nią. Rozdawany jest ten płyn szkodliwy w małych cy-

nowych czarkach, które senny bramin zanurza w wązkim basenie.

— Otwór studni — tłumaczy mój przewodnik — został zamknięty kolumnadą o czterdziestu filarach.

Ładną jest istotnie ta kolumnada, zbudowana z rozkazu wdowy po urzędniku z Gwalior. Każda kolumna ma swego mamroczącego kapłana lub żebraczkę, objuczoną bransoletami. Młode byczki obserwują nas swemi niewinnemi oczyma. Wokoło rozłożyli się potężni asceci. Turbany ze sznurów tworzą dumną koronę ubóstwa. Obok trójzęba nie wygasa ogień święty. I tam, nie zmieniając miejsca, znoszą słońce, mgłę, deszcz, żywiąc się tylko tem, co w pobożności swej wierni im udziela. Ci nie zapominają o nich, jak również o świętych drzewach „pipel tree“, które codzień wieczór podlewają. Powoli oswajam się z tym widokiem, nie mającym równego sobie nigdzie. Pomimo, że słońce świeci jeszcze, ukazał się czysty księżyc. Niebo jest tak nieskalane, jak pieśczoła dziewicy. Kruki i gołębie krążą nad kopułą złotą. Nie mogę oderwać się od tego wieczoru indyjskiego

zlewającego w sobie przesady, brud i cudną słodycz wiosny.

Tam na tarasie jakiś „rish” czyta „Parany.” Trzęsienie ziemi nie zbudziłoby go z tych rozmyślań. Jakże daleką jest Europa, Europa drgająca ruchem i czynem! Tu panuje wszechwładnie marzenie; spokój ducha jest królem, upojona imaginacya unosi się ponad błotem, tworząc cuda o poza świecie. Mój przewodnik błaga, by wracać.

Znów jesteśmy w uliczkach śmierdzących, lepkich.

— Świątynia krów—mówi mi indus, głosem pełnym szacunku.

Wsuwam głowę przez otwór obory. To największa ze świątyń; przepych kamieni i marmurów, gdzie krążą czczone jałówki. Lud cały czci je. One nie zwracają na to uwagi, pogrążone w martwej i ciemnej nieświadomości. Spełniają ze spokojem swe funkcje zwierzęce; żują ofiary, piją wodę z miedzianych naczyń.

Lud popada w szał wykrzywiający gwiazdziste twarze kobiet i szanowne twarze mężczyzn; padają na kolana, pochylając się do ziemi, jedzą

krowieniec, piją chciwie płyn nieczysty, będący w ich pojęciu cudownym.

VI.

„*Picturesman.*“

— Cudny mamy ranek; zabijemy coś dzisiaj!

Tak mówił anglik o twarzy młodej i poważnej, z jasnoblond włosami i błękitnym spojrzeniem gwałtownej dziewczyny. W hotelu, gdzie mieszkamy, zajął on stanowisko pierwszorzędne; jest to bowiem „osoba,“ „asystent kolektor“ rodzaj podprefekta. Ma zaledwie dwadzieścia cztery lata, ale posiada znaczną władzę w okręgu Benares.

Towarzysz mój „obieżyświat“ już wstał, z włosami pracę ukończył. Wczoraj wybił swego „boya,“ więc dziś idealnie jest obsłużony; kask tak jest biały, że aż błyszczący, żółte obuwie posiada kolor dojrzałego zboża. Fuzya, starannie wyczyszczona, ta fuzya z takim trudem z komory celnej odebrana, po przyjeździe do Kalkuty; władze

angielskie nie chcą do Indyj wpuścić żadnej broni, zostawiając indusom tylko kije.

— Świątynie mnie nudzą — mówi mój towarzysz, biorąc kask i czarne okulary. — Widziałem na wsi czaple, kaczki i dziki; spalimy kilka naboju, a siebie zostawimy twoim bałwanom.

Słyszę szczekanie i skoki psów na smyczy; poszli! Po obnyciu się świężą wodą, pozostałem w łóżku, zmęczony poprzednimi wycieczkami, obezwładniony tym strasznym upałem, który już wiosna przyniosła.

Ciężkie powieki zamykają się. Drzemie. Firanka dzieląca mój pokój od werendy — drgnęła. Budzę się na wpół. Jakaś ręka usuwa firankę. Wsuwa się sylwetka indusa. Kłania mi się prawie do ziemi. Po chwili wyczekiwania, ponieważ nie obrzuciłem go obelgami i nie chwyciłem za łaskę — zbliża się złamany we dwoje, z rodzajem adoracyi, błagający o przebaczenie za śmiałość. Rozian mój „boy“ wsuwa się za nim. Wyjaśnia mi, że to „picturesman“ handlarz obrazkami.

Przez ten czas, intruz przykucnął przy moim łóżku, i rozwija powoli i nader zręcznie chustkę, z której wy-

dobywa papiery kolorowane, malowaną kość słoniową, liście miki przezroczystej, błyszczącej. Przyglądam mu się ciekawie. Sympatycznym mi się wydaje. Chude jego ciało, ma giętkość linoskoków. Dłoń jego ciemnych rąk, podających mi obrazki, ma dziwne białe linie, jak dłoń małp. Umie tyle po angielsku, że liczy i wystawia swój towar. Nie blaguje jak szarlatan, ale ma swoją elokwencję hipnotyzującą, pociągającą. Jego magnetyzujące ruchy, nadające rytm mowie, zdają się nadawać niezwykłą wartość tym pokazywanym bagatelkom. Najprzód z chustki wychodzą bogowie, niebieski Chryśne, grający na flecie pod drzewem, gdy kochająca Rada, również muzykalna, obejmuje ramionami swego małżonka, i na otworach fletu, łączy swe palce z palcami boga; to znów Sziwa, rozciągnięty na posłaniu z węzów kobra, a nabrzmiałe ich głowy otaczają go cieniem. Powoli z chustki wychodzą twarze ludzkie radzów uśmiechających się lub gniewających się, cudotwórcy i linoskokowie przemieniają się w kruki lub tańczą na nitkach. Roztacza się całe nędzne życie służi indusa: noszącego

wodę, zamiatającego, trzymającego narznięte, lub odpędzającego muchy, prasowacza, czyszciciela butów, krawca... Teraz chustka ziele rozkoszą: kobiety ubierające się z rozmarzonymi oczami, z piersią wezbraną szczęściem i biodrami, znającymi wszystkie tajemnice „kama sutra” księgi, gdzie bramini od początków świata spisywali wyrafinowania w miłości; inne, ujęte w drogie tkaniny i klejnoty, siedzą na tronach, i różą dotykają głowy zielonej papugi.

Nareszcie chustka dyskretnie.. ze zwierzęcą się, ciemna ręka składa na mych kolanach pary i trójce, najobrzydliwsze, odzwierciadlające najohydniejsze kombinacje, najniższych namiętności. Komiczne to jest i niezręczne, z tym nieokreślonym idealizmem, pozostałym w zdziwionem spojrzeniu posłusznych samic, w hieratycznym giescie, przemyślnych samców...

Rozian na palcach poszedł zasunąć franke, później ukląkł przy mnie, jakby chcąc załagodzić możliwy wybuch gniewu, a także by lepiej widzieć... Usuwam te rozpustne okazy ludu, w gruncie czystego, chcącego przez chciwość podrażnić wieprza z zacho-

du; targuję się o sceny z życia codziennego, „rani,“ o królowę z włosami rozdzielonemi nad czołem, o twarzy łagodnej i bladej, o uszach zepsutych przez ciężkie klejnoty. Płacę ceny śmieszne. Ten kupiec nie sprzedaje, lecz czaruje; oczy jego mają wilgotny, magnetyczny blask, właściwy zrenicom gadów; ale nos ma szlachetny; wzdurliwe bez zarzutu usta, zdają się być skradzione ze statuy boga greckiego. Po targach, podczas których udaje, że zawiązuje znów chustkę, zawierającą niebo, ziemię i piekło, oddaje zawsze i z gięstem króla obdarzającego poddanego, składa przedmiot na moim łóżku:

„Take it!“ — Weź to! — mówi z głęboką pogardą, jakby dawał prezent, ale nie spuszcza z oka mej portmonetki, bada oczami zamki moich kufrów, jak gdyby je oczami rozsrubowywał. Nie mogę się go pozbyć, chce mi teraz sprzedać zabawki dziecinne, pudełka o podwójnem dnie, używane przez sztukmistrzów; zacząłem się gniewać. Ociąga się. Rozian wyprawia go.

Przedrzemawszy się jeszcze, chcę oglądnać zakupione rzeczy; przecieram ze zdziwieniem oczy. Ten kupiec to

rzeczywiście jakiś czarodziej w złym gatunku. Królowe, które mi sprzedał z taką bezinteresownością, za okrągłą sumę rupij, są ohydnie malowanemi gałganami, kość słoniowa—prostem jest drzewem, mika zaplamioną potem i deszczem. Tego już za wiele! podejrzenie przebiega mi przez głowę, otwieram kuferek, do którego przed chwilą rzuciłem złoto. Akurat połowa znikła.

Wołam Roziana. Pada mi natychmiast do nóg; oświadczam mu, że jest złodziejem i należy do bandy złodziejskiej—i wypędzam go. Zobaczymy czy policya zdoła oddać mi indyjskie malowidła i sztuki złota z portretem Wiktorji.

VII.

Maharadża z Benares.

Maharadża z Benares przysłał dziś po południu swój powóz, bym przyjechał do niego. Ludzie jego są zuchwali i aby ich uspokoić, muszę im powiedzieć przez rządcę hotelowego, że oni są na moje usługi, a nie ja na ich zawołanie. Gdy zmniejszył się upał,

uniosły mnie szybkie konie z „Taisem“ służącym, uczepionym za mną u powozu; rzuca on wszelkie możliwe obelgi innym powozom i przechodzącym ludziom, którzy zresztą nie zwracają na to najmniejszej uwagi. Słowo „maharadża“ spędza z drogi lekkie „hécas“; policyanci i żołnierze tubylcy powstają, kłaniają mi się, lub przedstawiają broń przez szacunek dla mej białej cery, cery władcy. Woźnica puszcza konie w pełny bieg; a gdy „sais“ zrozumiał, że go nie słuchają, że zdarzy się wypadek (powóz nie zatrzymuje się nigdy) zeskakuje, wyprzedza konie ogromnemi skokami i przybywa w samą porę, by porwać z pod kopyt końskich nagie, podobne do glisty czarne dzieciątko, lub przerażoną starszkę, która już pod koła dostać się miała.

W około nas, wciąż ta sama wzruszająca, zrezygnowana nędza Indyj. Kobiety przy studniach zakrywają starannie twarze, ale czuję, że po przez przezrocza muślinów przyglądają mi się, ciągnąc jednocześnie olbrzymi blok. Inne, starannie zbierają zeschnięte nawóz krów, koni i byków, nie dla kultu dziwaczego i świętego, jaki widziałem w świątyni, ale z nędzy, by mózż nim

rozpalić ognisko, w wyschłej ziemi wykopane.

Rezydencya maharadży, jest zupełnie europejską. Pomimo pośpiechu, spóźniłem się. Maharadża wyszedł i wkrótce ma wrócić. Siadam, a w około mnie Anglicy w kapeluszach na głowach, bawiąc się laskami, przebiegają książeczą rezydencyę, jak jakieś muzeum, z pogardą i ciekawością zdobywców. Rozmyślałem o losie tych „wielkich króli“ (takie bowiem ma znaczenie nazwa maharadża) władających od ośmnastego wieku tym krajem świętym, ziemią bogów i ascetów, zaniepokojonych buntami, patrzących na upadek władzy wazjirów z Ondę, wyrzynających Anglików, a następnie posądzanych o zdradę. W czasie buntu spahisów — maharadża, ojciec obecnego, o mało nie został powieszony — narazie Benares, ostatecznie zaanektowane do królestwa Brytanii wzamian za roczną pensję stu tysięcy funtów sterlingów, przeznaczoną dla maharadży — kropla w morzu olbrzymich wydatków...

Prabhu Narin, obecny Maharadża Benares wszedł, malutki jak statuetka, uśmiechnięty. Poznałem go, gdyż po-

dobnym był do wielkiego portretu wi-
szącego w wielkim salonie, prawie
dziecko, dwadzieścia pięć lub ośm lat
zapewne, ale o postaci jeszcze wątłej-
szej, mały, cienki, zachował po swym
ojcu, wielkim wojowniku tylko pię-
kność. I ta piękność zniewieściła
przeszła tylko w przystojność. Na
głowie ma czapczkę utkaną ze złota;
mała jego figurka, ściśnięta kurtką
pół-indyjską, pół-zachodnią z pasem,
z którego zwisa zakrzywiona szabla,
pasująca do niego, szabla od parady,
którą trzeba było zmniejszyć, by przy-
stosować do małej figurki, tak, że te;
raz wydaje się bogatą zabawką
pod spodniami rysuje się zgrabna no-
ga, przywodząca na myśl Lorenzaccio-
a końce zakrzywionych jego trzewi,
ków poruszają się drganiem nerwowem,
nigdy nie ustajacem. Patrzy na mnie
przyjaźnie, uśmiecha się, śmieje na-
wet dla kontenansu; czuję, że jest do-
bry, ale niema mi nic do powiedzenia.
Świta jego patrzy z podziwem na fran-
cuza.—jak mogą istnieć na świecie in-
ni biali, prócz anglików?—grzeczni są
dla mnie bardzo, ale z pewnym odcie-
niem pogardy, ponieważ niema oschle-

go tonu poddanych angielskich; cze-
zają swego pana.

— Jego Wysokość — mówi mi je-
den — jest wielkim filozofem!

Mały Maharadża uśmiecha się, poka-
zując małe, ściśnięte zęby kota. Uwa-
ża to za rzecz naturalną, że jest filo-
zofem; myśli jeszcze, że jest wielkim
królem! Ten dwór księcia bez wła-
dzy, jest zabawnym i pełnym ironii:
składa się ze starych „pundi“ osiwi-
łych nad tekstami „Upaniszady“; z astro-
logów; mistrzów ceremonii z żywymi
oczkami, zadaniem których jest pil-
ność nad rozkoszami „Jego Wysoko-
ści,“—jedyny departament, w który zu-
pełnie nie wglądają anglicy; z przy-
bocznego sekretarza, szpiega, oddane-
go anglikom, który teraz ma tylko
myśl jedną — pochwycić mnie za ra-
miona i wyrzucić, jak gdybym nie
był zwykłym artystą podróżnikiem,
lecz pragnącym spiskować, ja poeta,
z tym maharadzą z bajek czarodziej-
skich, by wywalczyć niezależność In-
dyi!

Nareszcie Prabhu Narin wychodzi
ze swej ekstazy, czy też ogłupienia.
Pije chętnie, szepcze głos publiczny.
a resztę czasu zabierają mu kobiety,

Powiedziano mu na ucho, że jestem pisarzem i że interesuję się losami jego kraju, że mógłbym o nim coś powiedzieć...

Wówczas zaczyna pozować przedemną, opowiada mi, że widział się dziś z urzędnikiem do szczególnych poruczeń, że pracuje nad polepszeniem losu swych poddanych.

— I am very busy... very busy... (bardzo zajęty jestem, bardzo) powtarza; to słowo „zajęty“, wydaje mu się takim tytułem, jak co najmniej tytuł Maharadz. Tylko Europejczycy są zajęci, wschodnie narody opieszalości się oddają. Ale on tak jest „zajęty“ jak gdyby zamieszkiwał mglisty „Strand“ Londynu, a nie ten melancholijny, zapomniany i śliczny fort Ramnagar. Odczuwa dumę, mówiąc o tem zmyślonem „zajęciu“, rehabilitując go, jak sądzi, w tej jego królewskiej słabości. Ale i w tej roli nie może się długo utrzymać. Zajął się drobiazgami, chcąc być uprzejmym. Daje mi widoki Benares, podpisuje swoje fotografie, zapewnia mnie królewskim tonem:

— Wszystko ci dam, co tylko zechcesz!

Odpowiadam skromnie, że chciałbym przejść tu po Ramnagar; tak się nazywa stara rezydencja przodków, zdybywców, poprzedzających tego ładnego manekina. Prośba moja jest wysłuchaną. Wstajemy.

.

Zamiast wracać do hotelu, idę do klubu. Oddalony on jest bardzo od malowniczego Benares. Węch mnie nie omylił. Znalazłem tam mych przyjaciół; „obieżyświata“, „asystenta kolektora“. Piję „wishy — soda“ inaczej „peg“ surowy trunek angielski, jedna ćwierć alkoholu, reszta wody — zastępuje to tutaj wino i piwo; — siedząc na bardzo wysokich czerwonych krzesłach, przypatruję się grze w bilard inżyniera z majorem.

— Piękny mieliśmy dzień, zabiliśmy dużo, — mówi mi z przechwałką Anglik o jasnych blond włosach i niebieskich oczach gwałtownej dziewczyny. — Mam nadzieję że Maharadza oddał należne panu względy... Co się tyczy złodzieja pańskiego, policja wpadła już na ślad. Mam nadzieję, że będziesz pan zadowolony.

Piję i ja ten „peg“ podany mi przez indusa w wielkim turbanie; ale to otoczenie, zbyt angielskie, nie pociąga mnie, myślę o komedyi jaką przedemną odegra jutro mój „picturesman“ i o wrażeniach, czekających mnie w odwiecznej rezydencyi „wielkich króli.“

VIII.

Policya indusów.

Policyant stoi przedemną wyprostowany, z oczami przebiegłemi, badawczemi, z wąsem europejskim. Czysty jest i dobrze ubrany. Płócienny uniform z pasem, krótki oręż na biodrze, nadaje mu dumny wyraz. Mówi płynnie po angielsku, zadaje mi pytania. Wyjaśniłem mu całą historję z tym kuglarzem, handlującym obrazkami. Ten człowiek przedostał się do mnie pod protekstem sprzedania mi swych obrazków. Zamiast dać mi to, co kupiłem, pozostawił bohomyzy i gałgany. Korzystając z mego obezwładnienia, ukradł mi worek złota. Oko policyanta zapala się coraz bardziej, jak gdy-

by tu chodziło o jego sprawę osobistą — o własne jego interesy. Rządca hotelu nadchodzi, rozpacza nad tem co się stało, przestraszony zjawieniem się policyi w jego domu. Jest on mieszańcem, jednakowo przez europejczyków jak i tubylców, unikany. Czuje, że go to drogo kosztować będzie i że skorzystają z mych podejrzeń, by mu krwi serdecznej utoczyć...

Ja z całą naiwnością dziwię się zapalowi policyanta. Przychodzi z dworca, gdzie zostawił szpiegów. Niech się tylko ukáže funt sterling w ręce tubylca, o minie podejrzaney, a natychmiast zostanie on przytrzymanym. Następnie zwraca się do hotelarza mówiąc:

— Masz tu służących, na których cięży podejrzenie!

Pół czarny nie odpowiada. Wie, co ta mowa oznacza. Nie zazna spokoju póki gotówką nie zapłaci. Ja wciąż nic nie rozumiem; i w dalszym ciągu oskarżam handlarza obrazkami. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że on popełnił kradzież. Nie wspominam o moim „boyu“ Rozianie, który musiał mu pomagać.

— Stawimy go przed sądem tego handlarza — odpowiada policyant. Następnie usiłuje sprawie nadać szersze rozmiary.

— Po jego odejściu, spałeś pan z gozdiną — dodaje — w czasie pańskiego snu, jakiś służący mógł wejść. Za tym śladem pójść należy; a patrząc surowo na hotelarza!

— Masz tu „flatmana“ otyłego człowieka, lubiącego bardzo whisky, mamy go już na oku od niejakiego czasu. On mógł być sprawcą kradzieży.

Usiłowania i subtelność w badaniu sprawy, zachwycają mnie w tym azyacie. Rzeczywiście ten „flatman“, korzystając ze swych bosych stóp, nie waha się wkraść do mego pokoju, czyniąc zaledwie tyle szmeru, co pełzająca jaszczurka. Zaczynam wątpić. Pozwalam mu robić poszukiwania w hotelu. Tubylec z pasem, z wąsem europejskim, idzie robić dalsze poszukiwania, unosząc mój szacunek, prawie zachwyty...

Zjadam samotnie śniadanie, gdyż mój towarzysz „obieżyświat“ pozostawił mnie, by udać się wraz dwoma innymi do sąsiedniej wsi, gdzie szerzy się dżuma.

W okolo mnie krążą śliczne ptaszki, zbierając nawet z obrusa okruszyny chleba. Czarodziejskie Indye przenikają aż do tych sal jadalnych, ponurych, nagich, zbyt białych od gipsu i bielizny. Nie zerwany jest tu związek natury zwierząt z człowiekiem, chociaż zjadamy te prześliczne gołębie, krążące nad sztandarami i trójzębami Sziwy, te kaczkę, duchy żeglujące tych zatrutych śpiących sadzawek, bażanty będące ożywczym drganiem równin; i—okropność oburzająca bramińców! — zabijamy woły, cielęta, których życie świętszem jest niż ludzi; dziwne zaufanie pozostało w tej faunie, tak długo oszczędzanej, która w swem sercu, nazywa „braćmi“ tych dwunogich, wznoszących swe czoła ku słońcu... Nieostrożne wróble, głośne palomby, i wy, nieznośne kruki niebieskie, budzące mnie o świcie, i ty salamandro, przebiegająca po słońcu nad moją głową i ty błyszcząca pszczoła, promieniu załamane słońca, śpiewająca kropło miodu, możecie zaufać temu białemu, spożywającemu śniadanie samotnie, melancholijnie. On nie jest okrutnym, nie zwrócił swego gniewu na wasze niewinne

igraszki... Ale na nieszczęście! nadchodzi wiek, w którym Azja nawet nie będzie schronieniem zwierzęcia, gdyż człowiek w około siebie, na całej planecie, wytworzy pustkę i przestach.

Czułbym się prawdziwie zbyt osamotnionym dziś rano, gdyby nie krążyła koło mnie ta przyjaźń zwierzęca. Cięży mi na sercu czyn tego oszusta. Otóż leżę na werandzie, wyciągnięty na jednym z tych wygodnych foteli, o poręczach tak szerokich i długich, że można postawić na nich szklanke herbaty lub książkę położyć, a nawet złożyć niedbale nogi. Pszczoła siada na gazecie angielskiej, którą czytam; zawarte w niej suche wiadomości i reklamy nudzą mnie i zasmucają. Nie odpędzam jej, wiem, że nie zwróci ku mnie swego żądła, a przynosi mi tylko jasną radość swej skrzydlatej obecności, jak dar poezji i złocony uśmiech tej tak biednej Indyi! Zdaje mi się, że rozumiem delikatny szept muchy płomiennej!

— Wiem dobrze—mówi ona—że cierpisz z powodu tej kradzieży setki funtów sterlingów, jak gdyby to była zdrada serdeczna, jakby Benares, mia-

sto twych marzeń, niesprawiedliwie cię odepchnęło; daj pokój! przebaczu temu dziecinnemu ludowi, którego niewola zdemoralizowała... Tyle jest czaru i piękności w około ciebie, że twa zasmucona dusza może znaleźć ukojenie!

Tak, pszczoła ma słuszość, należy przebaczyć.

Żałuję mego Roziana, mego „boya“, którego wypędziłem od chwili gdy pomógł oszustowi.. Nie mówiąc ani słowa, nie pokazując mi się, sprząta mój pokój, a raczej ściela mi łóżko i kładzie trochę masła na moje obuwie.

Włóczy się po hotelu ze zwykłą ospałością, ale teraz przerażony, z wielkim węzłem na swym turbanie, z ponurym uśmiechem na grubych wargach; oko jego, niespokojne, śledzi za mną i błaga. On jest bengali, to znaczy najbojaźliwszy i najprzebieglejszy z indusów. Nie mogę bez wzruszenia pomyśleć o tym przywiązany łajdaku. Znał moją nerwowość, pieścił i zwiększał moje lenistwo. Był usłużnym opiekunem. Klękał, mówiąc do mnie, pakował mi rzeczy jak czarodziejka! Mała złota pszczołka szepnęła, chodząc po angielskiej gazecie:

— Weź go nazad; pomimo wszystko, on na swój sposób kocha cię. To jak okropnie być samemu!

Rozian tam w cieniu drzwi, przypatruje mi się. Uczyniłem ruch... już leży u mych nóg!

— Sab (panie)—mówi on—„picturesman“ jest tam z policyantem. Bij mnie pan, ale nie wydawaj. On taki zły!

Idź chłopcze, nie bój się, nic nie powiem, ta cała sprawa interesuje mnie już tylko tyle, co tysiące innych.

Pomimo to, milczący jak sędzia, zbliżam się do grupy rozprawiającej przed kotarą mego pokoju; „asystent collector“ jest tam. Przewyższa o głowę podoficera i złodzieja; błękitne jego oczy, mają twarde spojrzenie drogich kamieni. On nie żartuje, on w tym kraju jest Anglią; on jest, jeżeli się tak śmiałem wyrazić — Sprawiedliwością... Założył podpinke kasku i rozpytuje złodzieja w miejscowem narzeczu. Ten w pełzającego gada się zamienił. Królewską twarz, profil bohatera pochylił ku ziemi; źrenice ruchliwe, zamglone, pełne nienawiści, jak u zwierząt dzikich, osaczonych. Na mnie nie zwraca uwagi, jestem mniej jak niczem,

„melek“ nie posiadający aureoli siły, ale tamten jest anglikiem, władcą, prawie bogiem... Mój „picturesman“ jest wciąż tak mało ubranym, giętkie jego ruchy zdają się skupiać w sobie, by w sposobnej chwili mógł skoczyć i uciec. Przyniósł swą niewyczerpaną chustkę i zaczął znów pokazywać swój towar, temi ruchami pociągającymi, kuglarskimi.

— Przyznaje, że oszukał co do towaru—mówi „asystent kolektor“ i można go za to wsadzić do więzienia. Co do reszty—zapiera się.

Nagle pojawia się nowa osoba na scenie; gdzie ona się kryła? czy także w tej zaczarowanej chustce? Zdaje mi się, że prędzej za policyantem. To starzec jakby w stułę odziany, skóra jego przypomina korę; twarz, z której zwisają kępki siwych, pogmatowanych włosów, przywodzi na myśl świeżo wyrwany korzeń. Łamie się w nieustannych „salam“ (pokłonach) składa ręce, jak przed jakim bożkiem. To ojciec magika, był na wojnie spahisów, trzymał stronę anglików, szanuje władzę angielską, jak własną matkę.

Składa wielką przysięgę na to, że syn jest niewinny. Obaj są uczciwy-

mi, sprawiedliwymi kupcami. Proponuje oddanie wytwornych wyrobów z kości słoniowej, miki o ślicznych malowidłach, miniatury królowych.

— Bierz pan zawsze — mówi mi po francuzku praktyczny anglik. Biorę, czyż mam wyznać! jestem prawie rozbrojonym błaganiami tego starego łotra: podoba mi się pomysł tego oszusta, który wprowadzając na scenę tę miłość rodzinną, tak zakorzenioną w Indyach, pewnym jest, że obecność i świadectwo ojca otoczy go niewzruszoną opieką: wówczas tak ze znudzenia jak z litości oświadczam, że sprawę uważam za skończoną, cofam oskarżenie.

Po cóż nalegać zresztą? złoto moje musi już być w bezpiecznem miejscu.. Ale to nie zdaje się zadawałać policyi. Spojrzenie podoficera błyszczy gorliwością. Oświadczą, że rola jego nie jest jeszcze skończoną: przetrząsnie budę handlarza, przepyta ludzi hotelowych, „flatmana“ w szczególności....

— Dobrze, idźcie sobie — mówi „asystent kolektor“ a zwracając się do policyanta dodaje.

— A ty przyjdiesz jutro zdać sprawę z dokonanych poszukiwań.

Gdyśmy zostali we dwóch, anglik i ja, powiedziałem

— Macie tu gorliwą policyę.

Tamten milczał, uśmiechnął się tylko.

Przedtem już Rozian znikł.

Gdy przekonał się, że obaj bandyci poszli nie ukarani, unosząc chustkę czarodziejską, przybiegł zaraz i z wielkim szacunkiem dotknął rękami trzewików moich.

— A! Sab — zawołał z sercem przepełnionem wdzięcznością — nie wiesz, jak policya złą jest u nas! Twierdzisz, że jest gorliwą. Ależ ona pracuje dla siebie. Zbyt jest sprytną, by żądać od tych, co zanoszą skargi. Ale tamtych, podejrzanych wyzyskuje. Trzeba płacić, płacić zawsze, czy się jest winnym, czy nie. Okradziony nie zawsze znajduje co stracił: ale biedne dyabły, jak my, jeżeli jesteście skompromitowani, musimy oddać ostatnią rupię aby kupić sobie niewinność. To też w Indyach policya jest dobrem rzemiosłem...

IX.

Ramnagar.

Barka radży pruje Ganges, mając na swym przodzie parę ślicznych skaczących koni; siedzę pod różowym baldachimem, milczący przewoźnicy kierują się do starej cytadeli. Wznosi się na murach, które swe korzenie zapuściły w dno Gangesu. Jest to zbiór galerij, bastyonów, świątyń. Przebywam monumentalne schody, do wody się spuszczone. Opanowują mnie Indie dawniejsze, potężne, bohaterskie, źródło cywilizacji, schronienie tajemnic i siły. Pod delikatnem niebem, podobnem do zbladłej z rozkoszy kobiety, spada na me ramiona marmurowa świeżość. Przeszedłszy wspaniałe schody, wchodzę do sali przyjęć o cudnych plafonach. Ściany nie przecięte żadnem brzydkim oknem, ożywiają się kolorowemi kamieniami, cała wysmukła flora inkrustowana jest w ogrodach drogocennych, których wieki całe zniszczyć nie zdołały. Na nieszczęście Europa przeniknęła tutaj, dając zwisające świeczniki, za któremi Wscho-

dnie narody przepadają, a które już w Damaszku a później w Peshawer, psuły mi najcudowniejsze mieszkania mużułańskie.

Przy gładam się twarzom radżów, zamieszkującym Ramnagar; duchy ich muszą tu wracać by opłakiwać minioną wielkość ojczyzny. Niezdobyty fort jest tylko muzeum, dokąd wchodzą zdobywcy w kapeluszach na głowach. Jakże się różnią ci wielcy królowie, od ładnego królika zamieszkującego dom w Benares! Zawoje, perłami szYTE, otaczają samowolne czoła, napiętnowane znakiem czerwonym, zdającym się być tam krwawą kroplą z pola bitwy wyniesioną. Pióropusze ich, naszyjniki, dyademy, mają jakiś surowy odbłysek. Faworyty rozszerzają jeszcze te twarze olbrzymie. Ale rozmarzenie leży w oczach tych wspaniałych postaci.

Któryż indyjanin, najbardziej zmaterjalizowany, nie posiadałby tych pięknych oczu, z których wyziera dusza zwyciężająca instynkty, znająca znikomość sławy? Uśmiecham się, patrząc na portret poprzedniego radży, na koniu, w spodniach zielonych i opończy huzara, udającego marszałka na-

szego państwa. Ogromny spokój panuje tutaj. Tam dalej — jakieś wyjście; oczom moim ukazuje się taras, z koronkowymi arkadami, przez które niebo przegląda. Jeden z oficerów pałacu, boso, przez szacunek, idzie za mną. Co się dzieje w jego ciasnej mózgownicy? Nie raczy mi pokazać cudów sztuk pięknych, na zawsze zaginionych; ale ciągnie mnie do mechanicznych ptaków, kluczem nakręcanych, śpiewających, ruszających skrzydłami. Później każe mi patrzeć na kwiaty z masy perłowej, po których chodzą sztuczne owady. Ale tryumf jego niema granic, gdy stajemy przed kobietą, z biustem obnażonym, w koszulce i gorsecie, przed białą, wystawcie sobie — paryżanką, pudrującą się, mizdrzącą przed lustrem. Ta lalka fryzjerska, ten manekin rozebrany, wydaje się tubylcowi szczytem piękności i postępu. Szuka w mych oczach wyrazu zdziwienia i zachwytu. Odwracam się i idę oprzeć się na tarasie, sławnym z widoku, jaki się z tamąd roztacza.

Na prawo, w dali, ciągnie się Benares, wachlarz pałaców i świątyń, który olbrzymka złamała, rzucając przy

miękich skrętach Gangesu. Spragnione ławice piasku wznoszą się po środku rzeki; barki śpią. Ówiewa mnie ciepły wietrzyk, jakby westchnienie tej drzemającej krajny. Tuż blisko, prawie w samym forcie, malutkie ogródki, uprawiane przez chmarę niewolników, duszą się w kamiennym obramowaniu, w cieniu świątyń, których chorągwie ozdobione są czarnym gołębiem i bykiem.

Na podwórzach przechadzają się olbrzymie słonie z malowaniem trąbami; noszą na swych grzbietach tylko maharadzę i wicekróla. Pomiedzy kolumnami filigranowymi, w jakimś tajemniczem zemana *), widzę boginki ruszające się powoli, ospale. Rozpoznaję bajaderki Prabhu Narina, przykucnięte na dywanie, ciężkie, zmęczone, przytłoczone klejnotami, we wspianych kaskach czarnych włosów, z tęskniami lampami oczu. Muzyka „sarangów“ dochodzi do mnie, niesiona spokojnem, jak przed burzą, powietrzem, przesiąkniętem różą; to rytm cichy, rozkoszny, w którym wloką się

*) Harem indusów.

wspomnienia rozwianej sławy i straconego rajuu...

...Nareszcie odrywam się od tej wizi. Powóz radży unosi mnie do ostatniego terytorium, który mu pozostaje; tam nie błąka się żaden anglik. Porzucam olbrzymie wewnętrzne podwórza zamku, gdzie stają w szeregach wojskowi, noszący puklerze i młoty żelazne. Znajduję się w czarodziej-skiem otoczeniu, w takiej samotności, iż zdaje mi się, że śnię.

Siadam w cudnym pałacyku z różowego marmuru, jak w jakimś Trianon Azyi. Tak jest śliczny, że musiał być zbudowany tylko przez miłość i służy pewno tylko dla miłości. Kolumnki nie przechodzą wysokości człowieka, marmurowy szpaler zdaje się z włosów spleciony, balkony ma-lutkie, tylko dwoje ludzi pomieścić mogą. Z ogrodów płynie cudny zapach, zapach jaki tylko tam pozna-łem, i omdlewałem z rozkoszy. Dalej inne kioski o srebrnych pilastrach, jak-by z promieni księżyca zbudowane. Zmęczone słońce zagląda w sadzawkę, odbijając różowy pałacyk; ryby rusza-ja się to w tę, to w ową stronę, po-dobne klejnotom, porzuconym przez

kochankę, pragnącą zupełnej nagości; listki spadłe z krzaków, płatki kwia-tów, unoszące na sobie owady, mącą przezrocza czystość wody.

Otóż nadchodzi wieczór, skończyły się czary. Uciekając, okrążam świą-tynię Sziwy opuszczoną, z której wy-latują we fryzach aniołowie indusów, asparasi, duchy kobiece uskrzydłone, grające na lirze. Wsiadam do barki królewskiej o skaczących rumakach. Jestem daleko od strasznych ghats nie wdycham już tych odorów, płyn-ących z odwiecznych odpadków, szerzą-cych dżumę i tyfus.

Koło Ramnagar jakże czystym jest, Ganges! Tu niema miejsca na troskę, natura zieje słodyczą, kojącą wszyst-kie rany. Stary fort znika za mną, potężny, pełen dawnego ukochania, przebrzmiałej sławy, rozwianych mol-dlitw... Wodę zabrudza tylko piasek.. Benares, w dali, wydaje się miastem spokojnem w pośród gajów... Niema handlu, przemysłu, fabryk, jak w Kal-kucie; niema krwawych bogów, strasz-nych świątyni, leniwych i szorstkich żebraków, domagających się marnego baczysznu. Dziękuję małemu radży, u-smiechniętemu, zniewieściałemu, dobre-

mu, który pozwolił mi rozkoszować się tym wieczorem, nieskalanym niczem, i wskrzesił przedemną te zamarte Indye, Indye naszych marzeń i serca, kraju idealnego, gdzie rozkosz jest czystą, a tajemnica przezrocza.

...Przed kotarą drzwi moich, oczekuje mnie policyant rozweselony.

— „Picturesman“ — mówi on — uczniwym jest człowiekiem, co się tyczy „flatmana“ otyłego człowieka, to nie u niego nie znaleźliśmy... Trzeba będzie szukać gdzieindziej. Uśmiecham się, gdyż rozumiem teraz; złoto moje odnaleźć się nie da, ale złodzieje zapłacili, a policya nie straciła czasu swego.

X.

Święto wiosny w Benares.

Zbyt długo przeciągałem tu mój pobyt; zapomniałem, że zima w Indiach, to jedyna pora roku nie groźna dla podróżnych. Bóg Chryсна, wcielenie słońca, tego słońca straszego i dobroczynnego, zapładniającego ziemię i rozpalającego ciało, sam ostrze-

ga mnie swemi uroczystościami ludowemi.

To „Oole Yatra Chryсна,” święto wiosny, uroczystość odbywająca się na cześć boga miłości.

Z dzielnic krajowców płynie jakiś gwar, muzyka, śpiew. Pięką się olbrzymie placki na ulicy, przy dźwiękach fantastycznej orkiestry. Od czasu do czasu przebiega gromada kapłanów, z oczami nieprzytomnemi, czołami tatuowanemi znakami Wisznu, śpiewających, giestykujących, opętanych tajemniczym wpływem, podnieconych odrodzeniem soków żywotnych.

Wróciłem nad brzeg Gangesu, tym razem bardzo rano, w towarzystwie młodego bramina, wtajemniczonego w kult religii dziecinnej i uczonej; w imieniu swego pana, radzący z Benares, ma on mi pokazać szacunku godną boginię Ganga w blaskach jutrzeńki, gdy obejmują ją pobożne ramiona kąpiących się pielgrzymów. Przypatruję się memu towarzyszkowi: to mały szesnastoletni indus, którego znajomość słów angielskich bardzo jest ograniczoną, umysł słaby, milutki, a usta szczebioczą, jak dzióbek ranne go ptaszka. Niema turbanu, a z temi

policzkami prawie jasnymi, ciałem nieokreślonym, zawiniętem w białe muśliny, to tu, to tam podziurawionem, wydaje się prędzej mechaniczną lalką, aniżeli przewodnikiem. Rad jest, że weźmie udział w tych pogańskich uroczystościach z europejczykiem, który zapłaci bakczysz.

Zaledwie trzęsący powozik dowiózł nas do brzegów rzeki, zaczynają wołać na niego:

„Babu! babu (panie) nie gniewaj się. To dzisiaj święto!

I przewoźnicy płamią jego niepokalane muśliny, strugą czerwoną, nasuwającą na myśl rozgniecione owoce jeryny. Młody bramin nie gniewa się, śmieje się, drży trochę pod swą przezroczystą draperyą... Oto jesteśmy w łodzi ciężkiej i powolnej, płynącej wzdłuż ghât; muska ona olbrzymie schody, pilastry świątyń, które woda pokryła, mury pałaców, śmiejące się gromadki, igrające w około nas w Gangesie. Woń jest nie tak dokuczliwą, jak nad wieczorem o zachodzie słońca. Zgasły stosy, na których palą zmarłych. Te stare wspaniałe złomy kamieni, te tarasy, galerie, pagody spiczaste, nad którymi wznoszą się

olbrzymie minarety meczetu Aureng-Zeb, te ruiny gniotące się wzajemnie jak gdyby marmur, złoto, granit upojone były również swą odwieczną starością i znikomą wiosną, — cały ten wspaniały i nędzny, uroczysty i obdrapany pejzaż, zabarwia się różowemi tony, zapowiadającemi wschód słońca. Ludność zdająca się być naturalnymi aktorami, ruszającymi się w tem cudnem otoczeniu, wydaje się tak zgrzybiałą, że te zachowane zabytki wielkości minionej tylko litość wzbudzają...

Słabi, przedwcześnie postarziali wskutek febr i zapaleń wątroby, z legendowej piękności zachowujący tylko olbrzymie oczy, zmęczeni, ponurzy, roją się mężczyźni, kobiety, dzieci, w nieświadomości swego poniżenia, jedynie zajęci myślą zmycia w tej wodzie błotnistej i wstrętnej — grzechy dusz, a nie brud ciał. To mistycyzm kąpiącego się i praczki, połączony dziś jeszcze z tą niepewną radością, towarzyszącą rekonwalescentom, a która jedynie biernemu obserwowatorowi przypomnieć może, siłą porównania, zmęczone ruchy tego karnawału indusów. Do pół ciała zanurzają się w tej wo-

dzie szaro-zielonej, jakby inkrustowanej zgnilizną; wyzymają w niej swą bieliznę, nacierają dzieci, opierające się słabo i wdzięcznie. W tych ciałach zniewieściałych rozsiała się anemia, właściwa wegeteryanom i azyatom. Kupców poznać można po ich obrzymim brzuchu, oznaczającym bogactwo; braminów — po swiętym sznurku, na którym często wiszą amulety, po kosmyku spuszczającym się na plecy z głowy ogolonej. „Saujasi“ straszni, nieprzytomni, z włosami podobnymi do złośliwych krzaków, rozmyślają, siedząc zupełnie nago, na jakichś stołkach w rzece ustawionych—zaimprovizowane wyspy Robinsona w ekstazie — może już od kilku dni, żyjąc tylko dymem fajek i ziarnkami.

Pielgrzymi ustawili cynkowe namioty pod rozwalonemi murami. Manikarnika-Ghât jest świętem miejscem, najbardziej zapełnionem świątyniami, tarasami, ludnością. Tam tłoczą się te parasole ze słomy splecione, pod którymi w miejscach dokąd woda przenika, powstaje cała wegetacja wielkich szarych grzybów.

Długą żerdzią przewoźnicy nasi, pchają łódź tak leniwą, jak oni sami. Gło-

wy dziecinne wypływają z zatrutej wody z przodu i z tyłu łodzi naszej, rozlegają się wołania: — bawcie się, bawcie!

Inne, na wybrzeżu zapełnionem świątyniami, schodami, skaczą, gonią się, nagie jak freski świątyni, oblewając się wzajemnie. Powietrze przepelnione jest tą specjalną wesołością, bez wybuchów, zaledwie słyszalną—ludu, który wie, że życie jest marne, że wszystko, nawet szczęście, jest złudzeniem, ludu filozoficznego i mistycznego, w niewoli odwiecznej, zwyrodniałego wskutek cywilizacji, słodkiego, zniewieściałego przez próżniactwo. Dziewczęta kąpią się i ubierają w oczach wszystkich, w obojętną skromnością, bez hieratyzmu egipcyanek, z tą gibkością pochodzącą z rezygnacji; a ich wątle brunatne ciała, królewskiej delikatności, zanurzają się z szacunkiem w tej cuchnącej wodzie, zasilanej potokami płynącemi ze ścieków, w kaskadach przelewających się po stopniach pałacowych.

Młody bramin, drżący, biały, usiłuje wytłómaczyć mi historię tragiczną lub miłosierną tych świątyń licznych, wzniesionych przez pobożne królowe,

tych obserwatoryów, fortów, cisnących się tak między sobą, chyba dla tego, by lepiej opór stawiać...

Nie rozumiem dobrze jego opowiadania, tak jest bezładne; można by powiedzieć, że w lekkiej i przesądnej klatce jego mózgu myśli śpiewają w niezgodzie ze szmerem skrzydeł, jak w Bengali ptaszki. Ale gdy zatrzymujemy się przed niewykończonymi, olbrzymimi pilastrami, zalanymi przez Ganges, u stóp wspaniałego Ghât, którego schody jakimś trzęsieniem ziemi zostały zrujnowane, milknie szczebiot małego bramina, a rozpoczyna on hymn mistyczny do boga Szivy:

— Widzisz sâb (panie), ten pałac zrujnowany, te kolumny nieskończone i zatopione... jeden z radźów chciał tu wznieść nieśmiertelny pomnik. Otóż jeden „sanjasi“ siedział od kilku lat na kamieniu wybrzeża, wstępując na wewnętrzne stopnie Samadlu, co wy nazywacie ekstazą!

Raja powiedział mu:

— Święty, wstań, idź rozmyślać pod drzwiami jakiej świątyni, ja potrzebuje miejsca tego.

— Dlaczego niepokoisz mnie, o królu? — odpowiedział sanjasi z wywróconymi oczami i głosem, jakby z tamtego świata pochodzącym.

— Chcę pozostawić trwałe świadectwo mej sławy, przy boskim Gangesie!

Robotnicy wypędzili żebraka. Wówczas ten stanął na swych nieruchomych od tyłu lat nogach i zawołał:

— Znieważyłeś, o królu! przez swą dumę boga Sziwę, rozmyślającego w mem sercu. Przeklinam twe dzieło, nigdy nie zostanie wykończone!

Kąpiel jest teraz prawie już ukończona. Słońce Chryсна wznosi się na niebie czystem, jak olbrzymia żrenica dziewicza. Niebieskie gołąbki wychodzą z pod zczerniałych okiennic, gdzie zbudowały swe gniazda. To są zwiastunki nowej pory roku, spokój mać tylko szmer ich skrzydeł. Teraz pielgrzymi ubierają się, śmieją i bawią w tych kamiennych ruinach. Zajmują się swym strojem osłabieni, jak chorzy, z czarem odwiecznego znużenia. Młodzi ludzie przeglądają się w nędznych lusterkach, pochodzących zapewne ze wstrętnych bazarów niemieckich. Dziewczęta, do przyglądania swych tłustych

włosów używają długich palców, ozdobionych pierścionkami. Od czasu do czasu struga różowa przecina powietrze; jest to wonny płyn Chryсны.

Dwie ciężkie łodzie uganiają się, w karnawałowym wyścigu; ponieważ naładowane są drzewem, więc domyślałam się, że są to okręty śmierci... One żywią „burning ghât” najświętsze ze wszystkich miejsc, gdzie już dziś wieczorem rozbrzmi żar wyzwajający, zabezpieczający raz na zawsze od wcieleń i ponownych urodzeń się. (Czyje zwłoki zostały spalone w Benares, na brzegu Gangesu, ten od razu wchodzi do rajy nirwany). Oczekując na nocną uroczystość, kapłani tych pogrzebowych łodzi zabawiają się oblewaniem wonnym płynem; i oto mają na sobie różowe plamy, oni, których ręce wkrótce błogosławić będą zwęglone ciało.

Ta żałobna flotylla zostawia za sobą radosne smugi. Krew wiosenna zabarwia szary i zgniły Ganges.

Stara, wodna bogini odmładzać się zdaje przez tę ranę, którą ciągnie na swem brudnem, pomarszczonem łonie. To miłosny pot Chryсны, krwawy sty-

gmat wiecznej wiosny, ożywiającej ruchome źródło wszechrzeczy.

ROZDZIAŁ III.

Miasto zbuntowane.

Lucknow.—Dobrodziejstwa francuza w Indjach.—Kwitnące ruiny.—Obrażona kurtызana.

I.

Lucknow.

Każde miasto indyjskie ma sobie właściwą fizyognomię. Nędza, strach merkantylizm, ruchliwość gorączkowa charakteryzuje krajowców Kalkuty; ci z Benares drzemią lub giestykują: ludzie z Lucknow, dokąd przybyłem—dumni są, uczciwi, prawie arogancy.

Tam, potoki krwi wylano za niezależność, w chwili buntu spahisów. Fanatyzm muzułmański targnął ospałością indyjską, stworzył straszne gniewy, okrutne represye. Lucknow, miasto zbuntowane, zachowało dziką pamiętkę, pomimo pięknej rzeki Gumti,

mnożące drzewa i kwiaty; wszędzie rzucają się w oczy groby i ruiny, za-
zdrośnie zachowywane przez anglików,
jako świadectwo ich tryumfu.

Gdy wychodzimy z dworca, „obieży-
świat“ i ja—oddechamy szeroko; „boye“
nasi złożyli pakunki na jednym wózku,
a sami jadą innym jak radżowie. Mniej
pałace powietrze popołudniowe zakre-
ca wąsiki mego towarzysza, a mnie
do serca przenika. Opadł kurz na dro-
gach; ale ten drugi kurz, mgła wie-
czorna, czarem spowija widnokrąg.
Nowe miasto, przez które przejeżdża-
my, uśmiecha się swemi szerokimi
alejami, pustymi placami, ogrodami,
białymi „bengalows“ otoczonemi ziele-
nią.

Miasto gniewu objawia się w wy-
buchu „zinnias“ (roślina ornamenta-
cyjna) gieranii i róż. Hotel „Royal“
w którym stajemy, zdaje się pałacem.
Ale jakiś chłód wieje z tych zbyt wy-
sokich sufitów, z tego nadmiaru bia-
łości na murach, od tych poważnych
służących, z milczącymi twarzami, po-
dobnych do duchów ponurych i złośli-
wych; od tych anglików zasiadających
przy stołach, którzy wiecznie sztyw-
ni i nadąsani, rozmawiają z powagą na-

kręconych zegarów. Opieramy się na
parapecie tarasu, po obiedzie, pod wspa-
niałem sklepieniem nieba. Parapet po-
ruszył się. Mój sąsiad przy stole, in-
spektor fabryki, uśmiecha się, widząc
mój przestрах. Tupie nogą, podska-
kujemy. Cały gmach drży!

— Taka jest robota indusów!—woła
on pogardliwie.

Musi tu być poprostu gips położo-
ny na drzewie, a może i kamień, ale
ten kamień dziurkowany, tak giętki jak
stal, a którego odłamki, sprzedawane
są turystom przez wędrownych han-
dlarzy.

Dziwny kraju, gdzie sztuczne drze-
wa wyrastają cudownym sposobem
z pod magnetyzujących palców faki-
rów, gdzie „yogliis“ śpią miesiąc całe
pod ziemią, mając zapieczętowane usta,
uszy i oczy, gdzie królowie ascetom
pokłony oddają, gdzie małpa i wąż
czczony jest jak bóg, gdzie natura
sama jest czarodziejką, gdzie kamień
ugina się!

...Idę sam w nocy w towarzystwie
jednego „coolis“ wysłać depeszę do na-
szego konsula w Kalkucie. „Obieży-
świat“ leży już pod swą mustikiera,
zmęczony tenisem, polowaniem i bie-

ganiem po Benares. Biedny indus, idący przedemną, litość wzbudza swemi łachmanami. Nigdy nie przestanę wzruszać się nędzą zrezygnowaną tego ludu. Mamy wiosnę, noce są dość chłodne jeszcze, szczególnie dla krajowców. Ten jest stary i chudy, drżący z głodu i zimna, Siwa broda, źle ogolona, jeży mu się na twarzy, oko na wieki zagasło. Włożył na swe ramiona jakąś chustkę, noszoną przez stare baby, i ona mu jednym końcem zwisa na plecach, na pomarszczonem i wązkiem jego czole; biała szlafmyca, dopełnia wygląd nędzny i komiczny. Księżyc rzuca swe blade promienie na krajobraz cudny, z pałacami europejskimi i wytwornymi meczetami, w bukiecie rozkwitłych pokrzyw.

Pomiędzy wspaniałemi drzewami, w pośród tej azyatyckiej natury zięjącej aromaty, pod sklepieniem rozgwiażdżonego nieba, rysują się sylwetki will angielskich. Powtarza się tu to samo, co w Benares. Miasto europejskie rozszerza się, zostawiając każdemu domowi pas ogrodu.

Telegraf, to duża okrągła sala bez wewnętrznych przegród trzymana przez białych i półbiałych; to tu, to tam po-

tykam się o rozciągnięte ciała zawiniętych w kołdry „boyów,“ których urzędnicy budzą od czasu do czasu, by dać pokwitowanie lub zamknąć drzwi.

II.

Dobrodziejstwa pewnego francuza w Indjach.

Nazajutrz rano siadamy do „garry.“ Sprytny i łagodny woźnica, wiedząc, że jesteśmy francuzami, wiedzie nas do „Martinière.“ To wspaniały i śmieszny gmach, wzniesiony przez awanturnika z Lyonu, a który stał się domem wychowawczym.

Jadąc, przypomniałem sobie tę historję; nie był on banalnym, ten Klau dyusz Martin, który sam sobie wszystko zawdzięczał. Przepadał za wszystkim nieznanem, skąpy był jak parweniusz, zdolnym był do sztuki wojennej i miał manję budowania. Żył w ośmnastym wieku, wówczas, gdy jednym pociągnięciem pióra Ludwik XV pozbawił Francję Indyj, chyba na zawsze; porzucił służbę francuską, prze-

szedł do angielskiej. Zostawszy generałem i doradcą nababa z Lucknow, umiał skorzystać należycie z tej wysokiej protekcji, wzbogacił kraj, nie zapominając zapłacić swoich kieszeni i chciał, by potomność o nim pamiętała. W tym celu w Lyonie, swem mieście rodzinnem, w Kalkucie i Lucknow, pozostawił piękne sumy, by zbudowano szkoły, noszące jego nazwisko. Szkoła w Lucknow jest z pewnością najważniejszą i najbardziej malowniczą, gdyż znajduje się w „Constantia House“ w samym pałacu awanturnika.

Otóż jesteście. Pałac w najgorszym guście, o estetyce prawdziwie bednarzkiej (takim był zresztą fach jego ojca), nie razi jednak oka, gdyż w tych niezmiernych równinach indyjskich wszystko jest dozwolone, wszystko możliwe. Ogarnia patrzącego zdziwienie i sympatya wobec tego zgromadzenia najsprzecznějších stylów i obróconego w kamień marzenia człowieka ambitnego, pragnącego uwiecznić swe imię. „Labore et constantia“ — napisano na szczycie. Był on rzeczywiście wytrwałym pracownikiem i pomimo, że był żołnierzem, lubił

spokój. Artyści indyjscy przedstawiają go w swych malowidłach w ubrańiu krajowem, szanowanego i kochanego, kochającego to państwo Ondhe, gdzie osiadł nie jako zdobywca, ale gdzie żył jak przyjaciel. Nie wyznawał pogardy angielskiej dla tuziemców; będąc francuzem, czuł, jak wielki Dupleise, marzący o Indyi wolnej, odrodzonej.

Gdy przybyliśmy do Martiniere, sirotki tam zamieszkałe zajęte były przygotowywaniem estrady do mającego odbyć się dnia tego koncertu. Indusi zszywali draperye. Dyrektor szkoły uprzejmie porzucił te przygotowywania, by nas zaprowadzić do krypty, gdzie spoczywa grób Martina.

Jest to sklepiona piwnica z niszami. Wchodzimy dość ciemnymi schodami, poprzedzani przez służących, niosących świece na prętach żelaznych. Od czasu „Mutiny“ sarkofag przeniesiono do sali sąsiedniej. Na białym marmurze napisano po angielsku:

„Tu spoczywa Martin, ur. w Lyonie 1735 r., przybył jako prosty żołnierz do Indyj. — umarł generał majorem. Módlcie się za jego duszę.“

Obok w skarbcu o żelaznych podwojach, generał gromadził swe bogactwa, mające pamięć jego uświetnić.

W towarzystwie profesora matematyki zwiedzamy centralną wieżę. Wspaniałe apartamenty przemieniono na klasy i sypialnie. Tak jak we wszystkich wielkich grobowcach Azji, znajdujemy tu seryę dachów w tarasach, wznoszących się jedno nad drugimi. Na każdym z pięter, nad kopułą pawilonów lub słupach balustrady, Martin kazał ustawić statuy wykrzywione, pełne wyrazu.

Lwy o oczach tworzących latarnie, z łapami podniesionemi, siedzą pomiędzy bożkami naszej zachodniej mitologii, osobistości bajeczne lub legendowe, cezary, muzy i te idylliczne figurki, które wdzięczna pamięć kawalera pobożnie zachowała... Jedna dziewczica wskazuje niebo, druga z kokieteryą odwraca się. Para wyrostków objęła się wpół i przechyliła, chcąc lepiej podziwiać krajobraz. Pomiedzy Apollinami i Minerwami, rzeźbiarz umieścił jedną z tych biednych dziewczyn, krążących koło restauracyj nocnych w Paryżu, z koszykiem kwiatów. Bliżej szczytu dwa skrzydlate geniu-

sze całują się w usta... Olbrzymi piorunochron góruje nad wszystkim! Szczyt ma zupełnie kształt królewskiej korony.

— Posłużył do iluminacji po wzięciu Ladysmith — powiedział z dumą mój przewodnik.

Nie słuchałem słów jego, żądny oglądania z tej wysokości tego cudnego kraju, tak słodkiego dla oka, tak drogiego dla serca.

Ztamtąd obejmuje się cały Lucknow i cały okrąg. Ładna sadzawka rozciąga się przed frontem. Psuje ją kolumna o wiele wyższa od kolumny Vendôme, sławiąca bezgraniczną pychę. W pobliżu pałacu wznosi się falanster. To każe przebaczyć tamtemu. Światły filantrop zmusza do zapomnienia o niemądrym architekcie. Dużą przestrzeń zajmują mieszkania nauczycieli, kancelarye, ogrody warzywne, kąpiele, folwarki. Podczas gdy oko nasze tam w dali widzi tylko ruiny i grobowce, zgromadzone zwyrodnieniem królów Ondhe i potyczkami z anglikami, tu mamy małe miasteczko pracy i wiedzy, krajobraz bogaty, odżywiany zdrowemi sokami. Francuz, kochający Indye, pozostawił im ten dar.

III.

Kwitnące ruiny.

Odtąd widzieć będziemy tylko ruiny lub złomy kamienne, z których dusza autochtonów wygnana została przez najeźdców.

„Rezydencya!“ Słońce zlewa na nasze kaski turystów żar swych promieni nieubłaganych, gdy zbliżamy się do tych murów, do ogrodów rozkosznych.

Niepodobna być smutnym w pośród tych szczątków, pokruszonych kulami i ogniem... a jednak mówią one o walce, zgrozie i śmierci! Ale, bo Indyę płodne są; dobra rodzicielka zielenią i kwiatami otoczyła te groby, dając im pozór kołysek. Purpurowe, niebieskie, żółte, zielone rzuciła ona bukiety na ten dramat prochu i nienawiści. Natura przebacza, bo nie rozumie.

Tym razem zbliża się ku nam stróż, anglik. Takim samym będzie żebrakiem jak tubylec. Taine byłby zachwyconym, że sprawdza się w Indjach teoria jego o wpływie otoczenia. Wschód nie zmienia się wcale, przeobraża raczej tych, co się doń

zbliżają. Powoli osiadły tu człowiek zachodu, suggestyonuje się tymi, którymi pogardza; tak jakby natura cała z nimi współdziałała, jak gdyby bogowie Indyj nie byli zwykłymi bałwanami, lecz siłami wiecznymi, przenikającemi duszę, jak promienie tego słońca, opalające ciała. Ten stróż dobrze wypasiony, opowiada urywanym i wzgardliwym akcentem utarczki tych krwawych tygodni; tu anglicy byli otoczeni przez zbuntowane oddziały. Domy zmaltretowane przez kule i pociski, pozostały nienaprawione z rozkazu zwycięzców. Anglicy postanowili oddać trwałą, cześć swym żołnierzom; tak drogo okupiony tryumf pozostaje pełnych imaginacji krajowców znakiem trwałym i widzialnym *).

*) Wszystkie książki, o Indjach traktujące, nie tylko angielskie przewodniki, lecz improwizacye francuskich przewodników, rozwodzą się szeroko o tej wojnie spahisów, wojnie, która właściwie nie jest inną od francuskich kampanij w Madagaskarze i Tonkinie. Nie będę nudzić temnych czytelników, należy to więcej do historii angielskiej. Zresztą nie interesuje mnie to tak bardzo, jak najmniejszy

Przebiegam szczątki komnat, zniszczonych pociskami, patrzę na masywne słupy, przedziurawione, schodzę do sklepów, piwnic, gdzie kobiety i dzieci znalazły schronienie, ale i tam dosięgły kule nieprzyjacielskie, gdyż otwarta dziura wyrwana przez jedną z nich, pozostała jakby ziejącą jeszcze raną. Kobieta o poblizki słup wsparta, umarła z przestrawu. Towarzysz mój delektuje się krwawymi anegdotalami, opowiadaniem monotonnym głosem przez przewodnika. Ja zatrzymuję się chwilę w pokoju nawpół

epizod Mahabharaty. Kocham Indye „indyjskie“ z ich legendami, filozofią, religiami, duszą azyatycką, roznamiętniającą mój umysł młodzieńczy... Na nie głównie patrzyłem, o nich słodko mi pisać. Powiem więc tylko, że w tej rezydencji w maju r. 1857 zamknął się Henryk Laurence z wojskiem królewskim i ludnością europejską, by stawić opór zbuntowanym spahisom z Lucknow. Umarł, a obleżeni, którym przybył na pomoc generał Havelock, zostali oswobodzeni w listopadzie przez Coliva Cambell, ale po jakich stratach i jakich cierpieniach!

zniszczonym, gdzie młoda dziewiętnastoletnia dziewczyna śmiertelny pocisk otrzymała. Tu na trzymającej się jeszcze ścianie widzę tu jedno słowo: Zuzanna... „Rezydencya“ żyje jako wspomnienie walki zażartej w końcu zwycięskiej. Ymanbara jest uśmiechem sztuki muzułmańskiej. Najezdca mongołowie rzuciwszy się na Indye Północy, pozostawili tam arcydzieła marmurowe. Ymambara jak Husainabad, jest miejscem świętem, dziś opuszczonym, cmentarzem prochów królewskich, który rząd oddał do użytku przechodniów, przerabiając na muzeum. To jedna z kar miasta zbuntowanego. Ymambara wydała mi się Partenonem Indyj muzułmańskich. To pozostałość pięknej epoki, prostota z wdziękiem połączona. W tej architekturze jest coś ruchliwego, czystego. Technienie zwycięstwa, wiara w Boga jedyne go przeszła tędy. Wyrzynane drzwi, dzwonniczki, kioski, sprawiają wrażenie koronek. Czysta linja frontonu każe myśleć o Akropolu, wewnątrz zaś, skąd wszelkie postacie ludzkie i zwierzęce zostały wyrzucone, artysta wyrzeźbił z wielką dokładnością kształt wielkiego kwiatu. „Obieży-

świat zatrzymuje się przed starcem, handlującym starami monetami, ozdobami, pozostałościami po minionej chwale; rozpytuje o cenę tych rzeczy i słyszę, jak obojętni na tę cudną architekturę targują się jak na bazarze i obliczają rupie.

Jeszcze ruiny, groby... Przechodzimy ogrodami Hussainabad. Smętek leży na tych rzeczach ślicznych, niedyszczonych i postrach wzbudzających, będących dziś tylko ciekawością dla turystów. Ładne fontanny, bijące pomiędzy posągami, zwilżają, nie odświeżając pałacej atmosfery: próżne łązy zwyciężonej ojczyzny!...

Uciekają przed nami łasiczki i dzikie koty...

Co najbardziej zasmuca i nie daje pokoju, to zmanierowanie i zdziecinienie, w które popadły te wspaniałości. Tam się odkrywa tajemne zepsucie Indyj, plamę, kalającą nieporównane wielkości. W grobowcu pierwszego króla Ondhe, Shah Najaba, nagromadzone są nędzne szkiełka, starannie obwiniete w tkaniny, dla zabezpieczenia od pyłu; pomniki pod wspaniałymi baldachimami, relikwiarze w strzępach. girlandy, zabaki wsplu-

gawione starych dzieci; wiszące zaś na ścianach malowidła pociechę mi przynoszą.

Przedstawiają one sceny miłości królewskich, tworzą poematy Wdzięku i Piękności. To przynajmniej nie zamarło w Indjach.

Wyszedłszy na zewnątrz, staje, by podziwiać wspaniałe ramiona kobiety, gniotącej glinę. Twarz, którą ku mnie zwróciła, zeszepecona jest przedwczesną starością i niewolą. Ale jakże piękne są jej ramiona. Od Djibuti ileż ja podziwiałem w Azji tych ramion służących, kurtyzan lub małżonków, których ton brunatny lepiej harmonizuje, niż nasza białość z pięknymi zgięciami ciała; praca nadała tym ciemnym ramionom — jędrność i dumę! bo to jest błędną legendą — Wschód próźniaczy i leniwy. Ramiona te byłyby wiecznie nagiemi, gdyby nie długie miedziane bransolety, lub serye różnokolorowych obręczy szklanych, kryształowych lub woskowych, kryjących je prawie całkowicie.

Ale ta istota tak biedną była, iż ramiona jej pozbawione były wszelkiej ozdoby. I porzuciłem grobowiec Shahelajata, pijany życiem, dzięki tym

rozkoszny i silnym ramionom, harmonizującym z gorzkim zapachem czerwonych i czarnych kwiatów, zalegających drogę...

IV.

Obrażona kurtyzana.

Po południu przyjaciel mój pociągnął mnie do bazarów. We wszystkich miastach indyjskich to jego najulubieńsze miejsce. Nie opieram się, gdyż lubię również ten przepojony życiem pył, ten zapach korzenny tytoniu, zmieszanego z zapachem konfitur i wody różanej, tę rozmaitość kolorów, to słońce palące się w tkaninach, to życie krajowców, tak różne od naszego, a cofające nas wstecz o kilka tysięcy lat. W Lucknow jedna ulica przeznaczona jest specjalnie dla kupców; drewniana belka zamyka ją dla powozów. Czują tam jakąś niechęć względem Europejczyka. Nie widzę już tej służbiistości interesowanej z Benares, ale jakąś nienawiść, chęć nieprzyjęcia białego, usunięcia go od siebie i swej pracy. Krajowcy, którzy

się nam sami narzucili na przewodników, mniej chciwi są na zysk i zdradzają pewną arogancję. Przekupnie nie raczą nawet ruszyć się, gdy proszę, by mi pokazali swoje towary.

Zabawnym jest kącik jubilerów. W budach swych, siedząc na piętach lub na skrzyżowanych nogach, poważni starcy szczypczykami sortują nieoszlifowane kamienie i wsadzają w obrączki srebrne. Zdaje się, że patrzysz na przedhistoryczne bransolety, mające zdobić ręce i nogi, na pierścienie dla rąk i nóg. „Obieżyświat“ nawet nie może odróżnić pomiędzy sztucznymi kamieniami prawdziwie drogocennych. Gorliwość naszych przewodników wy-czerpuje się na wskazywaniu nam przedmiotów srebrnych, lub złotych. Złoto, srebro—to dla nich wszystko.

Bardzo piękne kobiety wspierają się na drewnianych tarasach, wznoszących się nad bazarami. Mało się nimi interesują, nie mają tego wyrazu przychylności i zrezyguowania jaki widzieliśmy w kurtyzankach z Benares na rynku z tkaninami. One są namiętą duszą dumnego Lucknow, wojowniczą, zbuntowaną. A jednak przypuszczam, że to są narzędzia rozkoszy. Odziane

w żółte tuniki, których rękawy zapuszczają na swe nagie ramiona, gdy tylko spojrzemy na nie; ale nie kryją swych twarzy, jedynie wzrok swój odwracają. Mnóstwo mają wieszadeł przy uszach i nosie; cera ich jasna, rysy szlachetne. Jakąś odwieczną dystynkcyą nadaje powolność ich ruchom. Posiadają tylko jeden ruch trywialny, — palą, jak mężczyźni.

— Co to za kobiety? — pyta „obieżyświat“ jednego z ludzi.

Na słowo kobiety (women) marszczy się czoło indusa, oczy twardego nabierają wyrazu. Odpowiada jednym słowem: „ladies.“

— To są damy!

Towarzysz mój popełnił widocznie jakąś niezręczność; uśmiech jego szyderczy nie poprawia sytuacji. Mężczyźni szepczą za nami, oburzeni, że mogliśmy choćby pomyśleć o ich kurtyzanach. Ale sterczące wąsiki mego towarzysza zaczynają być groźne, laska w rękę tańczy. Nie jesteśmy ani w Kalkucie, ani w Benares; może źle się to skończyć, jeżeli nie uciekniemy natychmiast. Niebezpiecznym byłoby zaczepiać tę ludność, tak fanatycznie przywiązaną do swych dam, jak bóstw.

Uderzyć jedną z tych czczonych krów, ocierających się o nas w wązkim przejściu, lub znieważyc kobietę — to znaczy mieć pewność, że się zostanie na miejscu zmasakrowanym...

Wracając, uparty mój przyjaciel każe woźnicy wieźć nas do dzielnicy bajaderek. Przejeżdżamy przez większe bazy, również ludem zapełnione. Miasto jest zdrowsze, niż inne miasta indyjskie. Ulice należą do dzieci. Z okrągłymi głowami, z olbrzymimi oczami, którym Zola nadaje sztuczny, bajeczny wygląd, podobne są one do małych bóstw.

Wszędzie skaczą, bawią się, krzyczą, a rodzice z niewzruszoną powagą siedzą na piętach. Młode dziewczęta przechodzą, mając diademy pod swymi złocistymi włosami. Teraz tłoczą się na ulicy tuniki białe, karnawałem boga Chryсны splamione, różową ciecżą; przyjaciele idą razem mając splecione palce rąk (widziałem nieraz ten wdzięczny ruch w Indjach). Tragarze zgięci podtrzymują długą drewnianą tykę, do której przymocowana jest sznurami deska, a na niej siedzi kobieta wyższego stanu robiąca sprawunki ze swem dziecięciem. Nie mo-

żna jej dojrzeć, gdyż ta barbarzyńska lektyka zakryta jest gęstą tkaniną i przypomina te naczynia na jaja przeznaczone, które w Anglii podają, przykryte kurą z sukna uszytą!..

Otwarte jedno okno, a w niem ukazuje się twarz bajaderki, błyszczą klejnoty, ale więcej oczy pożądliwe i uśmiech odkrywający ząbki różowe... Woźnica znak jej daje... Ale bajaderka zląkła się, macha rękami z przerażenia — odmawia... Znika. Okno zamknięte... Powóz nasz puszcza się w dalszą drogę...

— Cóż to znaczy? — pyta z gniewem „obieżyświat.“

Woznica z pokorą wyjaśnia, że bajaderka nie chce przyjąć cudzoziemca. Straciłaby swą kastę, gdyż istnieje kasta kurtyzanek, i stałaby się parią... Gdybyż to jeszcze to tylko!... Gdyby kochankowie dowiedzieli się, że rozmawiała z białym, z chrześcijaninem, zabiłby ją... Duszo Lucknow, duszo dumna i buntownicza! Nawet twe ladcznice nie otwierają swych ramion dla rasy wrogiej, nie chcą znać zwycięzców...

Koniec części pierwszej.

SPIS RZECZY

ROZDZIAŁ I.

Miasto strasznych nocy	3
I. Miasto pałacy	3
II. Świątynia Kali Morderczyni	9
III. Szywa Lingham	16
IV. Łoże boleści i rozkoszy	19
V. Adoracya małżonki	23
VI. W „pancy“	28
VII. Humtollach burning Ghat	32
VIII. Ekstaza (uniesienie).	35
IX. W teatrze indusów	43
X. Wygnanie Sity	46
XI. Ladcznice	63
XII. Asceta odkupiciel	70

ROZDZIAŁ II.

Benares	72
I. Miasto boleści	72
II. Szał bazarów	82

III.	Zwierzęta i bogowie.	86
IV.	Natłok świątyń	91
V.	Nieczystość święta	95
VI.	„Picturesman”	98
VII.	Maharadża z Benares	103
VIII.	Policya indyjska	110
IX.	Ramnagar.	120
X.	Święto wiosny w Benares	126

ROZDZIAŁ III.

	Zbuntowane miasto	135
I.	Lucknow	135
II.	Dobrodziejstwa francuza w Indyach	139
III.	Kwitnące ruiny	144
IV.	Obrażona kurtyzana.	150

